

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

SZKICE WĘGLEM

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział I

W KTÓRYM ZABIERAMY ZNAJOMOŚĆ Z BOHATERAMI I ZACZYNAMY SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻE COS WIĘCEJ NASTĄPI

We wsi Barania Głowa w kancelarii wójta gminy cicho było jak makiem siał. Wójt gminy, niemłody już włościanin nazwiskiem Franciszek Burak, siedział przy stole i z natężoną uwagą gryzmołił coś na papierze; pisarz zaś gminny, młody i pełen nadziei pan Zołzikiewicz, stał pod oknem i opędział się od much.

Much było w kancelarii jak w oborze. Wszystkie ściany popstrzone od nich straciły swój dawny kolor. Również popstrzone było szkło na obrazie wiszącym nad stołem, papier, pieczęcie, krucyfiks i urzędowe księgi wójtowskie.

Muchy łąziły i po wójcie, tak jakby po jakim zwyczajnym sobie ławniku, ale szczególniej nęciła je wy-pomadowana, woniejąca goździkami głowa pana Zołzikiewicza... Nad tą głową unosił się ich cały rój; siadały na rozdziale włosów, tworząc żywe, ruchome, czarne plamy. Pan Zołzikiewicz podnosił od czasu do czasu ostrożnie rękę, a potem spuszczał ją nagle: da-wał się słyszeć płask dłoni o głowę, rój wzbijał się brzęcząc w powietrze, a pan Zołzikiewicz schyliwszy czuprynę wybierał palcami trupy z włosów i rzucał je na ziemię.

Godzina była czwarta po południu, w całej wiosce panowała cisza, bo ludzie wyszli na robotę; za oknem tylko, kancelarii czochała się o ścianę krowa i od czasu do czasu ukazywała przez okno sapiące nozdrza, ze śliną wiszącą u pyska.

Czasem zarzucała ciężki łeb na grzbiet, broniąc się także od much, przy czym rogiem zawadzała o ścianę. Wówczas pan Zołzikiewicz wyglądał przez okno i wołał: - A hej! A żeby cię...
Potem przeglądał się w lusterku wiszącym tuż koło okna i poprawiał włosy.

Na koniec przerwał milczenie wójt.
- Panie Zołzikiewicz - rzekł z mazurska - niech ino pan napisze ten „rapurt”, bo mię jakoś nieskładne. Przecie pan je pisarz.

Ale pan Zołzikiewicz był w złym humorze, a jak tylko był w złym humorze, wójt musiał sam wszystko robić.

- To i cóż, zem pisarz? - odparł z lekceważeniem. - Pisarz jest od tego, żeby pisywał do naczelnika i do komisarza; a do wójta, takiego jak wy, to wy sobie sami piszcie.

Potem dodał z majestatyczną pogardą:
- Albo to dla mnie wójt to co? Chłop, i basta! Zrób chłopą, czym chcesz... a chłop zawsze będzie chłopem.

Potem poprawił włosy i znów spojrział w lusterko. Wójt jednak czuł się dotknięty i odrzekł:

- Patrzcie no się! A niby ja to z „koniusarzem” nie piłem arbaty? „

- Wielka mi rzecz herbata! - odparł niedbale Zołzikiewicz. - A może jeszcze bez araku?

- A nieprawda, bo z barakiem.

- To niech będzie z arakiem, a ja dlatego raportu nie będę pisał.

Wójt ozwał się gniewliwie:

- Kiejś pan taki delikatny fizyk, to czemu było prosić się na pisarza?

- A was się kto prosił? Ja tylko po znajomości z naczelnikiem...

- Wielga znajomość, a jak tu przyjadzie, to pan ani pary z gęby...

- Burak! Burak! ostrzegam, że wy jakoś nadto roz-puszczacie język. Mnie już wasze chłopcy kością w gardle stoją, razem z waszym pisarstwem. Człowiek z edukacją tylko między wami ordynarnieje. Jak się rozgniewam, tak rzucę pisarstwo i was do diabła.

- Ba! i cóż pan będzie robił?

- Co? Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa? Człowiek z edukacją da sobie rady. Już wy się o człowieka z edukacją nie bójcie. Jeszcze wczoraj rewizor Stołbicki do mnie powiada: „Ej ty, Zołzikiewicz! z ciebie byłby czort, nie podrewizor, bo ty wiesz, jak trawa rośnie.” Powiedzcie głupiemu. Mnie pluć na wasze pisarstwo. Człowiek z edukacją...

- O wa! to się jeszcze świat nie skończy.

- Świat się nie skończy, ale wy będziecie kwacza w maźnicy maczać i kwaczem w księgach pisać. Będzie wam ciepło, aż przez aksamit drąg poczujecie.

Wójt począł się drapać w głowę.

- Kiej bo pan to zara na zadnie nogi.

- A to nie rozpuszczajcie gęby...

- Juści, bo juści.

I znowu nastała cisza, tylko pióro wójtowskie zwolna skrzypiało po papierze.

Na koniec wójt wyprostował się, obtarł pióro o sukmanę i rzekł:

- Ano! z pomocą bożą skończyłem.

- Przeczytajcież, coście nagwazdali.

- Co miałem ta gwazdać. Wypisałem akuratnie wszycko, co potrzeba.

- Przeczytajcie, mówię.

Wójt wziął papier w obie ręce i zaczął czytać:

„Do wójta gminy Wrzeczadza. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Naczelnik kozel, żeby spisy wojskowe były dycht po Matce Bożkiej, a tu u waju mentryki w parafii u dobrodzieja i też nasze chłopaki chodzą do waju na bandosę, rozumita, żeby były wypisane i bandośniki też przysłać przed Matką Bożką, jak skończone ośmnaście lat, bo jak tego nie uczyniła, to dostanieta po łbie, czego sobie i wam życzę. Amen.”

Pocciwy wójt co niedziela słyszał, jak proboszcz kończył w ten sposób kazanie, zakończenie więc takie zdawało mu się równie koniecznym, jak i odpowiadającym wszelkim wymaganiom przyzwoitego stylu, a tymczasem Zołzikiewicz zaczął się śmiać...

- To tak? - spytał.

- A to niech pan napisze lepiej.

- Pewno, że napiszę, bo mi wstyd za całą Baranią Głowę.

To rzekłszy, Zołzikiewicz siadł, wziął pióro w rękę, zatoczył nim kilka kół jakby dla nabrania rozpędu i począł szybko pisać.

Wkrótce zawiadomienie było gotowe; wówczas autor poprawił włosy i czytał, co następuje:

„Wójt gminy Barania Głowa do wójta gminy Wrzeczadza! Tak jak spisy wojskowe, z polecenia władzy wyższej, mają być gotowe na dzień ten i ten, roku tego a tego, tak zawiadamia się wójta gminy Wrzeczadza, ażeby metryki włościan baraniogłowskich, nachodzące się w kancelarii parafialnej, z takowej kancelarii wy-jął i do gminy Barania Głowa w samym skorym czasie nadesłał. Włościan zaś gminy Barania Głowa, znajdujących się na robociznie we Wrzeczadzy, na tenże dzień przystawić.”

Wójt chciwym uchem łowił te dźwięki, a twarz jego wyrażała przejęcie się i niemal religijne skupienie ducha. Jakże to wszystko wydało, mu się pięknym, uroczystym, jak na wskroś urzędowym. Oto, na przykład, choćby ten początek: „Tak jak spisy wojskowe” etc. Wójt uwielbiał to: „Tak jak”, ale się go wyuczyć nigdy nie mógł, a raczej zacząć wprawdzie umiał, ale dalej ani rusz! A u Zołzikiewicza płynęło to jak woda, że na-wet i w kancelarii w powiecie lepiej nie pisali. Potem tylko ukopcić pieczętkę, kropnąć nią o papier, ażeby stół trzasnął, i ot co!

- No, juści, co głowa, to głowa - rzekł wójt.

- Ba - rzekł udobruchany Zołzikiewicz - przecież pisarz to jest ten, co książki pisze.

- A to pan i książki pisze?

- Pytacie, jakbyście nie wiedzieli, a księgi kancelaryjne któż pisze?

- Prawda - rzekł wójt. I po chwili dodał:

- Spisy pójdą piorunem.

- Wy o to patrzcie, żeby się pozbyć ze wsi ladaców

- Bogać ich się tam pozbędzie!

- A ja wam mówię, że naczelnik skarżył się, że w Baraniej Głowie lud niedobry. Wciąż, powiada, piją. Burak, powiada, ludzi nie pilnuje, więc się też na nim skrupi.

- Ba! dyć ja wiem - odrzekł wójt - że się wszywko na mnie krupi. Jak Rozalka Kowalicha zległa, sąd kazał jej dać dwadzieścia pięć dlatego tylko, żeby na drugi raz pamiętała, że to, powiada, dziewce nieładne. Kto kazał? Ja? Nie ja, jeno sąd. A mnie do tego co? Niechta sobie i wszystkie zlegną. Sąd kazał, a potem na mnie.

W tym miejscu krowa z łoskotem uderzyła o ścianę, że aż się kancelaria zatrzęsła. Wójt zawołał głosem pełnym goryczy:

- A hej, żeby cię wciornaści! Pisarz, który przez ten czas siadł na stole, począł znów przeglądać się w lusterku.

- Dobrze wam tak - rzekł - czemu się nie pilnujecie. Z tym piciem będzie tak samo. Jedna parszywa owca wszystkim dowodzi i ludzi ciąga do karczmy.

- Pewnikiem, że nie wiadomo, a co do picia: jenszy się też potrzebuje napić, jak się napracuje w polu.

- A ja wam mówię tylko to, jednego Rzepy się po-zbyć i wszystko będzie dobrze.

- Cóż mu ta łeb urwę?

- Łba mu nie urwiecie, ale teraz spisy wojskowe. Ot zapisać by go w listę, niechby pociągnął los, i basta.

- Toczę on żeniaty i chłopaka ma już rocznego.

- A kto by tam wiedział. On by na skargę nie poszedł, a poszedłby, to by go i nie chcieli słuchać. W czasie branki nikt nie ma czasu.

- Oj panie pisarzu! panie pisarzu! musi panu nie o pijaństwo chodzi, ino o Rzepową, a to tyło obraza boska.

- A wam co do tego. Wy patrzcie ot, że i wasz syn ma dziewiętnaście lat i że takóž musi losować.

- Wiem ci ja o tym, ale ja go nie dam. Jak nie będzie można inaczej, to i wykupię.

- O! kiedyście taki bogacz...

- Ma tam Pan Bóg u mnie trochę koprowiny, nie-wielu tego jest, ale może i wstrzyma.

- Ośmset rubli koprowiną będziecie płacić.

- A kiej powiadam, że zapłacę, to choć i koprowiną zapłacę, a potem, byle Pan Bóg pozwolił zostać wójtem, to przy Jego najwyższej pomocy, może mi się to ta w jakie dwa roki powrócić.

- Powróci się albo i nie powróci. Ja też potrzebuję i wszystkiego wam nie oddam. Człowiek z edukacją zawsze ma większe wydatki niż drugi prosty; a jak-byśmy Rzepę

zapisali na miejsce waszego syna, to i dla was byłaby oszczędność... ośmset rubli na drodze nie znaleźć.

Wójt pomyślał chwilę. Nadzieja zaoszczędzenia tak znacznej sumy poczęła go łechtać i uśmiechać mu się przyjemnie.

- Ba! - rzekł w końcu - zawdyk to nieprzebieczna rzecz.

- Już to nie na waszej głowie.

- Tego to ja się i boję, że pańską głową się zrobi, a na mojej się skrupi.

- Jak sobie chcecie, to płąćcie ośmset rubli...

- Nie powiadam, żeby mi ta nie było żal...

- A! skoro myślicie, że się wam wróci, to czegoż żalować? Ale wy na swoje wójtostwo to tak bardzo nie liczcie. Jeszcze na was wszystkiego nie wiedzą, ale że-by tylko wiedzieli to, co ja wiem...

- Dyć pan kancelaryjnego więcej bierze jak ja.

- Nie o kancelaryjnym też mówię, ale trochę o dawniejszych czasach...

- A nie boję się! Co mi kazali, tom robił.

- No! będziecie się tłumaczyć gdzie indziej. To rzekłszy, pan pisarz wziął za zieloną kortową w kraty czapkę i wyszedł z kancelarii. Słońce już było bardzo nisko; ludzie wracali z pola. Więc naprzód pan pisarz spotkał pięciu kosiarzy z kosami na plecach, którzy pokłonili mu się mówiąc: „pochwalony”; ale pan pisarz kiwnął im tylko wypomadowaną głową, a zasię: „na wieki” nie odpowiedział, bo sądził, że człowiekowi z edukacją to nie wypada. Że pan Zołzikiewicz miał edukację, to o tym wiedzieli wszyscy, a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i w ogóle źle myślący, którym każda osobistość, wyrastająca głową nad zwykły poziom, zaraz solą w oku siedzi i spać spokojnie nie daje.

Gdybyśmy mieli, jak się należy, biografie wszystkich naszych znakomitych ludzi, w biografii tego niepospolitego człowieka czytaliibyśmy, że pierwsze nauki pobierał w Osłowicach, stołecznym mieście powiatu osłowickiego, w którym to powiecie leżała i Barania Głowa. W siedmnastym roku życia doszedł już młodociany Zołzikiewicz do klasy drugiej, a byłby również wcześniej doszedł i wyżej, gdyby nie to, że nagle nastąpiły burzliwe czasy, które raz na zawsze przerwały jego ściśle naukową karierę. Uniesiony zwykłym młodości zapalem, pan Zołzikiewicz, którego zresztą jeszcze poprzednio prześladowała niesprawiedliwość profesorów, stanął na czele żywiej czujących kolegów, wyprawił kocią muzykę swym prześladowcom, podarł książki, połamał li-nie, pióra i porzuciwszy Minerwę wstąpił na nową drogę. Idąc po tej nowej drodze doszedł aż do pisarstwa gminnego, a jak to już słyszeliśmy, marzył nawet o podrewizorstwie.

Jednakże i na pisarstwie wiodło mu się nieźle.

Gruntowna wiedza zawsze potrafi obudzić dla siebie szacunek, że zaś, jak wspomniałem, sympatyczny mój bohater wiedział coś o każdym prawie z mieszkańców powiatu osłowickiego, wszyscy więc byli dlań z szacunkiem,

pomieszanym z pewną ostrożnością, ażeby się w czymś tak niepospolitej osobistości nie narazić. Kłaniały mu się więc i osoby z inteligencji, kłaniali się i chłopci, zdejmując już z daleka czapki i mówiąc „pochwalony!”. Tu widzę jednak, że muszę jaśniej czytelnikowi wytłumaczyć, dlaczego pan Zołzikiewicz nie odpowiadał na „pochwalony” zwykłym: „na wieki wieków”.

Wspomniałem już, że sądził, iż człowiekowi z edukacją to nie wypada; ale były jeszcze i inne przyczyny. Umysły na wskroś samodzielne bywają zwykle śmiałe i radykalne. Otóż p. Zołzikiewicz doszedł do przekonania, że „dusza to para, i basta”. Przy tym pan pisarz czytał teraz właśnie wydawnictwo warszawskiego księgarza pana Breslauera, pod tytułem: *Izabela hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego*. Znakomity ten pod każdym względem romans tak mu się podobał i przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanii: „Udało się Marforemu, myślał sobie, dlaczegoż i mnie nie miałoby się udać?” Byłby może na-wet i pojechał, bo zresztą był teraz zdania, że „w tym głupim kraju tylko się człowiek marnuje”, ale wstrzymywały go, na szczęście, inne okoliczności, o których ta epopeja później mówić będzie.

Owóż skutkiem czytania owej Izabeli hiszpańskiej, wydawanej periodycznie, ku większej chwale naszej literatury, przez pana Breslauera, pan” Zołzikiewicz zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo, a zatem i na wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio z duchowieństwem związane. Nie odpowiedział więc kosiarzom, jako zwykle, „na wieki wieków”, tylko szedł dalej... Idzie, idzie, aż tu spotyka i dziewczki z sierpami na ramionach, wracające od żniwa. Przechodziły właśnie koło wielkiej kałuży, więc szły jedna za drugą gęsiego, podejmując z tyłu kiecki i pokazując burakowe nogi. Dopiero pan Zołzikiewicz powiada:

„Jak się macie sikory!”, i zatrzymał się na tej samej steczce, a co która dziewczyna przechodzi, to on ją wpół i całusa, a potem ją w kałużę, ale to tylko tak, przez dowcip. Dziewki też krzyczały oj! oj! śmiejąc się, aż im zęby trzonowe było widać. A potem, kiedy już przeszły, pan pisarz nie bez pewnej przyjemności usłyszał, jak mówiły jedna do drugiej: „A już to piękny kawalir, ten nasz pisarz!” „I czerwony kiej jabłuszczeko.” Trzecia zaś mówi: „A głowa to mu się tak puszy, kieby róża; jak cię złapi wpół, to aż cię zamgli!” Pan pisarz poszedł dalej, pełen dobrych myśli. Ale dalej znów, koło chałupy, usłyszał rozmowę o sobie i zatrzymał się za płotem. Za płotem, z drugiej strony, był gęsty wiśniowy sad, w sadzie ule, a niedaleko ulów stały dwie baby rozmawiając. Jedna miała kartofle w podołku i obierała je cygankiem, druga zaś mówiła:

- Oj! moja Stachowa, tak się boję, żeby mi mego Franka w żołnierze nie wzieni, że aż mi skóra cierpnie.

A Stachowa na to:

- Do pisarza by wam, do pisarza. Jak on nie zaradzi, to nikt nie zaradzi.

- Aż czymże, moja Stachowa, ja do niego pójdę. Do niego z gołymi rękami nie można. Wójt je lepszy, przyniesiesz mu. czy białych raków, czy masła, czy lnu pod pachą, czy kureę, to wszystko weźmie nie wybredzając. A pisarz ani spojrzy. O! on strasznie ambitny. Jemu to tyło chuścinę rozwiąż i zara rubla.

- Niedoczekanie wasze! - mruknął do siebie pisarz - żebyś ja od was jaja albo

kury brał. Cóż to ja łapownik jestem czy co? A idź z twoją kurą do wójta.

To pomyślawszy rozsunał gałęzie wiśniowe i już było chciał na kobiety zawołać, gdy nagle rozległ się z tyłu turkot bryczki. Pan pisarz odwrócił się i spojrział. Na bryczce siedział młody akademik w czapce na bakier, z papierosem w zębach, powoził zaś ów Franek, o którym baby rozmawiały przed chwilą.

Akademik wychylił się z bryki, dojrzał pana Zołzikiewicza, kiwnął ręką i zawołał:

- Jak się masz, panie Zołzikiewicz? Co tam słyszać? Cóż, zawsze pomadujesz się na dwa cale?

- Sługa pana dobrodzieja! - ozwał, kłaniając się nisko, Zołzikiewicz, ale gdy bryka mignęła dalej, za-wołał w ślad za nią z cicha:

- Żebyś kark skreślił, nim dojedziesz.

Tego akademika pan pisarz nie cierpiał. Był to kuzyn państwa Skorabiewskich; który przyjeżdżał zawsze do nich na lato. Zołzikiewicz nie tylko go nie cierpiał, ale bał się go jak ognia, bo to był drwiarz, frant wielki, a z pana Zołzikiewicza kpił jak gdyby umyśl-nie, i on jeden w okolicy, co sobie z niego nic nie robił. Raz nawet wpadł na posiedzenie gminne i powie-dział wyraźnie Zołzikiewiczowi, że głupi; chłopom zaś, że nie mają potrzeby go słuchać. Byłby się na nim pan Zołzikiewicz chętnie pomścił, ale... cóż mu mógł zrobić? O innych to choć coś wiedział, a o nim nawet nic nie wiedział.

Przyjazd tego akademika był mu nie na rękę, dla-tego poszedł dalej z zachmurzonym czołem i nie zatrzymał się aż dopiero przed jedną chałupą, stojącą trochę opodal od-drogi. Gdy ją jednak ujrzał, czoło jego wyjaśniło się znowu. Była to chałupa może biedniejsza jeszcze od innych, ale wyglądała porządnie. Umieciono było przed nią czysto, a podwórko przytrząśnięte tatarakiem. Pod płotem leżały szczapy drzewa, a w jednej z nich wspartej na pieńku sterczała siekiera. Nieco dalej widać było stodołę z otwartymi wierzejami, obok niej szopę, która była chlewkiem i oborą zarazem; dalej jeszcze ogrodzenie, w którym koń szczypał trawę, przestępując z nogi na nogę. Przed chlewem świeciła wielka gnojówka, w której leżały dwie świni. Kaczki brodziły koło gnojówki. Blisko szczap, między wiórami, kogut rozgrzebywał ziemię, a znalazłszy ziarno lub czerwia, poczynął krzyżeć: „kocz! kocz! kocz!” Kury zlatywały się na to hasło na wyścigi i dziobały specjał, odbierając go sobie wzajemnie.

Przed drzwiami chałupy kobieta tłukła w mędlicy konopie, śpiewając: „oj ta dada! oj ta dada! da-da-na!” Koło niej leżał z wyciągniętymi przednimi nogami pies, kłapiąc pyskiem za muchami, które mu siadały na rozerwanym uchu.

Kobieta była młoda, może dwudziestoletnia i dziwnie urodziwa. Na głowie miała czepek zwyczajny babski, na sobie białą koszulę ściągniętą czerwoną tasiemką. Kobieta zdrowa była jak rydz, szeroka w plecach i w biodrach, smukła w stanie, gibka, słowem: łania.

Ale rysy miała drobne, głowę niewielką i płeć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promienia-mi słońca; oczy duże, czarne, brwi jakby napisane, mały, cienki nosek i usta jak wiśnia. Śliczne ciemne włosy wymykały się jej spod czepca.

Gdy pan pisarz się zbliżył, pies leżący koło mędlicy wstał, schował ogon pod siebie i zaczął warczeć, błyskając od czasu do czasu kłami, jakby się uśmiechał.

- Kruczek - zawołała dźwięcznym cienkim głosem kobieta - nie będziesz ty leżał! żeby cię robole!...

- Dobry wieczór, Rzepowa! - zaczął pisarz.

- Dobry wieczór panu pisarzoju! - odrzekła kobieta nie przestając mędlić.

- Wasz w domu?

- Na robocie w lesie.

- A to szkoda. Jest do niego interes z gminy. Interes z gminy to dla prostych ludzi zawsze znaczy coś niedobrego. Rzepowa przestała mędlić i spojrzawszy trwożnie, spytała niespokojnie:

- No? cóże to takiego?

Pan pisarz tymczasem przeszedł wrota i stanął koło niej.

- A dacie się pocałować? to wam powiem.

- Obędzie się! - odparła kobieta.

Ale pan pisarz już zdołał ją objąć wpół i przygarnąć do siebie.

- Panie! będę krzyceć - wołała Rzepowa wrywając się silnie.

- Moja śliczna, Rzepowa... Marysiu!

- Paanie! toć to obraza boska! Panie! To mówiąc wydzierała się coraz silniej, ale pan Zołzikiewicz był także mocny i nie puszczał.

W tej chwili Kruczek przyszedł jej na pomoc. Zjeżył sierść na karku i z wściekłym szczekaniem rzucił się na pana pisarza, a ponieważ pan pisarz ubrany był w krótką marynarkę, Kruczek więc schwycił za nieosłoniony marynarką kort, przejął kort, chwycił za nankin, przejął nankin, schwycił za skórę, przejął skórę i dopiero poczuwszy pełno w pysku, zaczął potrząsać wściekle łbem i targać.

- Jezus! Maria! - krzyczał pan pisarz, zapominając o tym, że należał do esprits forts.

Ale Kruczek pana pisarza nie puszczał, dopiero gdy ten schwyciwszy polano zaczął nim zadawać w tył ślepe razy, Kruczek, otrzymawszy uderzenie w krzyż, odskoczył skomląc żałośnie.

Po chwili jednak znów zaczął doskakiwać.

- Weźcie tego psa! weźcie tego diabła! - krzyczał pan pisarz machając rozpaczliwie polanem.

Kobieta zawołała na psa i odpędziła go za wrota. Potem oboje z pisarzem spojłali na siebie w milczeniu.

- Oj dola moja! Coże se pan do mnie upatrzył? - zawołała na koniec Rzepowa, przestraszona tak krwawym obrotem sprawy.

- Pomsta na was! - krzyknął pan pisarz. - Pomsta na was! Czekaście! pójdzie Rzepa w żołdacy. Chciałem bronić... ale teraz... Przyjdziecie wy jeszcze do mnie... Pomsta na was!...

Kobiecina aż pobladła, jakby ją kto obuchem w głowę uderzył, rozłożyła ręce, otwarła usta, jakby chciała coś mówić. Ale tymczasem pan pisarz, podniósłszy z ziemi kortową czapkę w zielone kraty, oddalił się szybko, machając jedną ręką polanem, a drugą podtrzymując rozdarte szpetnie korty i nankiny.

Rozdział II

NIEKTÓRE INNE OSOBY I PRZYKRE WIDZENIA

W godzinę potem może przyjechał Rzepa z lasu z cieślą Łukaszem, na dworskim wozie. Rzepa chłopisko był rosły jak topola, tęgi: prawdziwie od topora.

Jeździł on teraz codziennie do lasu, bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał Żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa zarobek miał dobry, bo i do roboty był dobry. Jak, bywało, plunie w garście, s chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia się od niej oderwie. W ładowaniu drzewa na fury także był pierwszy. Żydy, co chodziły po lesie z miarą w rękę i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego. sile. Bogaty kupiec z Osłowic, Dryśła, mawiał do niego:

- No, ty Rzepa! niech ciebie diabeł weźmie. Na! sieć groszy na wódkę... nie, czekaj; na! pięć groszy na wódkę...

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot dla uciechy, puszczał głos po lesie:

- Hop! hop!

Głos leciał między pnie, a potem wracał echem.

I znowu nie było nic słyszać, prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był pierwszy. Trzeba było słyszeć, jak huczał z drwałami pieśń, której ich sam nauczył:

Coś tam w boru hukneno!
Buuuu! I okrutnie stukneno
Buuuu! A to komar z dęba spadł
Buuuu! I stukł sobie w plecach gnat
Buuuu! A tu mucha poćciwa
Buuuu!
Leci ledwie co żywa

Buuuu! I pyta się komara
Buuuu! Czy nie trzeba doktora
Buuuu! Oj! nie trzeba doktora
Buuuu! Ani żadnej apteki
Buuuu! Jeny rydla, motyki
Buuuu!

W karczmie też Rzepa pierwszy był do wszystkiego, tylko że siwuchę lubił, a skory był do bitki, jak podpił. Raz Damazemu, parobkowi dworskiemu, zrobił taką dziurę we łbie, że Józkowa, gospodyni folwarczna, zaklinała się, że mu duszę było przez nią widać. Innym razem, ale to ledwie miał wtedy siedemnaście lat, pobił się w karczmie z urlopnikami. Pan Skorabiewski, który wtedy jeszcze był wójtem, sprowadził go do kancelarii, dał mu raz i drugi w łeb, ale tylko dla pozoru, a potem, udobruchawszy się zaraz, pytał:

- Rzepa, bój się Boga! jakżeś ty z nimi poradził, przecie ich było siedmiu? A Rzepa na to:

- A cóż, jasnie dziedzicu! nożyska mają masierunkiem zerwane, to tylko com się którego tknon, to on zaraz o ziem.

Pan Skorabiewski zatarł sprawę. On dawniej był dziwnie łaskaw na Rzepę. Baby gadały nawet jedna drugiej do ucha, że Rzepa to jego syn: „Toć znać zaraz, dodawały, że fantazyją ma psiajucha ślachecką.”

Ale to nie była prawda, choć matkę Rzepy znali wszyscy, a ojca nikt. Sam Rzepa siedział komornym na chałupie i na trzech morgach, na których go też i uwłaszczenie zastało. Potem zaczął gospodarować na swoim, a że chłop był gospodarny, więc szło mu jako tako. Ożenił się, dostał żonę taką, że lepszej i ze świecą szukać; więc byłoby się pewno i bardzo dobrze wiodło, żeby nie to, że wódkę trochę zanadto lubił.

Ale cóż było na to poradzić. Jak ktoś do niego z wymówką, tak zaraz odpowiadał:

- Piję, to za swoje, a wam zasię!

Nikogo się we wsi nie bał, przed jednym pisarzem mores znał. Gdy zobaczył z daleka zieloną czapkę, zadarty nos i kozią bródkę, idące na wysokich nogach zwolna po drodze, to się za czapkę brał. Na Rzepę pisarz też wiedział jakieś sprawki. Kazali Rzepie wozic w czasie zawieruchy jakieś papiery, to i woził. A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a za świniami chodził. Ale potem pomyślał, że jednakże za owo wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał.

Taki to był Rzepa.

Gdy wrócił tego dnia z boru do chałupy, wypadła do niego kobieta z płaczem wielkim i dalejże wołać:

- Już ciebie, niebożę, niedługo moje oczy będą oglądały; już ja ci nie będę ni chustów prała, ni jeść gotowała. Pójdiesz ty, nieboraku, na kraj świata.

A Rzepa się zdziwił.

- Czyś ty się, kobieto - rzeknie - blekotu najadła, czy cię ta giez ukąsił?

- Ni ja się blekotu najadłam, ni mnie giez ukąsił, jeno pisarz tu był i mówił, że tobie już nijak od wojska się nie wykręcić... Oj! pójdiesz, pójdiesz na kraj świata!

Dopiero on ją wypytywać: jak, co, a ona mu opowiedziała wszystko, tylko o bałamuctwie pisarza zataiła, bo się bała, żeby Rzepa głupstwa pisarzowi nie powiedział albo czego Boże broń! na niego się nie porwał i tym sprawy swojej nie pogorszył.

- Ty głupia! - powiedział w końcu Rzepa - czego płaczesz? Mnie do wojska nie wezmą, bom wyszedł z lat; przy tym chałupę mam, grunt mam, ciebie, głupia, mam, a i tego raka utrapionego także.

To mówiąc pokazał na kołyskę, w której rak utrapiony, tj. tęgi roczny chłopak, wierzgał nogami i wrzeszczał, że aż uszy pękały.

Kobieta poczęła obcierać oczy fartuchem i rzekła:

- Co ta wszystko znaczy! Albo to on nie wie o papierach, coś je woził z boru do boru? Teraz Rzepa podrapał się w głowę.

- Juźci bo wie. Po chwili zaś dodał:

- Pójdę ja z nim pogadać. Może to nic straszego.

- Idź, idź! - rzekła kobieta - a weź ze sobą rubla. Do niego bez rubla nie przystępuj.

Rzepa wydobył ze skrzyni rubla i poszedł do pana pisarza.

Pisarz był kawaler, nie miał więc osobnego domu, ale mieszkał w czworakach stojących nad stawem, czyli w tak zwanym murowanym. Tam w osobnej sieni miał dwie izby na swój użytek.

W pierwszej izbie nie było nic, tylko trochę słomy, para kamaszów, druga była zarażam salonem i sypialnią. Stało tam łóżko niezaścielane prawie nigdy, na łóżku dwie poduszki bez poszewek, z których sypały się pierze; obok stół, na nim kałamarz, pióra, książki kancelaryjne, kilkanaście zeszytów *Izabeli hiszpańskiej* wydawnictwa pana Breslauera; dwa brudne kołnierzyki angielskie, słoik pomady, gilzy do papierosów i wreszcie świeca w blaszanym lichtarzu, z rudym knotem i muchami potopionymi w łoju koło knota.

Przy oknie wisiało spore lustro, naprzeciw zaś okna mieściła się komoda, obejmująca nader wykwintną toaletę pana pisarza: różnych odcieniów majtki, kamizelki bajecznych kolorów, krawaty, rękawiczki, lakierki, a nawet i cylinder, którego pan pisarz używał wtedy, gdy wypadło mu jechać do powiatowego miasta Osłowie.

Oprócz tego, w chwili, o której mowa, na krześle przy łóżku, spoczywały korty i nankiny pana pisarza, sam zaś pan pisarz leżał w pościeli i czytał zeszyt *Izabeli hiszpańskiej*, wydawnictwa pana Breslauera.

Położenie jego, to jest nie pana Breslauera, ale pana pisarza, było okropne, tak nawet okropne, że trzeba by mieć chyba styl Wiktora Hugo, żeby je opisać, jak było okropne.

Przede wszystkim w ranie czuł wściekły ból. Owo czytanie *Izabeli*, które było dlań zawsze najmiłą pociechą i rozrywką, teraz powiększało jeszcze nie tylko ból, ale i gorycz, jaka go trapiła po owym wypadku z Kruczkim.

Miał trochę gorączki i ledwo mógł zebrać się z myślami. Czasem nawiedzały go straszne marzenia. Czytał właśnie, jak młody Serrano przybywa do Eskurialu, pokryty ranami po świetnym zwycięstwie nad Karlistami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin fałuje żywo na jej piersiach.

- Generale! tyś ranny? - pyta Serrana ze drzeniem w głosie.

Tu nieszczęśliwemu Zołzikiewiczowi zdaje się, że istotnie jest Serranem.

- Oj! oj! jestem ranny! - powtarza przygnębionym głosem. - Królowo, przebacz! A żeby to najjaśniejsze!...

- Spocznij, generale! Siadaj. Siadaj! Opowiedz mi swoje bohaterskie czyny.

- Opowiedzieć mogę, ale usiąść żadną miarą - woła zdesperowany Serrano. - Oj! Wybacz, królowo. Ten przekłety Kruczek!... chciałem powiedzieć: Don Jose,.. Aj! aj! aj!

Tu ból rozprasza marzenie. Serrano rozgląda się; świeca pali się na stole i pryska, bo właśnie zaczęła się palić nasiąknięta łojem mucha; inne muchy łążą po ścianach... A? Więc to czworaki, nie Eskurial? Królowej Izabeli nie ma? Tu pan Zołzikiewicz przychodzi całkowicie do przytomności, podnosi się na łóżku, macza chustkę w dzbanku z wodą, stojącym pod łóżkiem, i zmienia okład.

Po czym zwraca się do ściany, zasypia, a raczej rozmarza się w półśnie, w półjawie, i oczywiście jedzie znowu jakby ekstrapocztą do Eskurialu.

- Miły Serrano! kochanku mój! sama opatrzę twe rany - szepcze królowa.

Serranowi włosy na głowie powstają. Czuje całą okropność swej. pozycji. Jak tu nie posłuchać królowej, a jak tu zarazem poddać się interesującemu opatrunkowi? Zimny pot występuje mu na czoło, gdy nagle...

Nagle królowa znika, drzwi otwierają się z trzaskiem i stają w nich ni mniej, ni więcej jak tylko Don Jose, zacięty wróg Serrana.

- Czego tu chcesz? Ktoś ty? - woła Serrano.

- To ja, Rzepa! - odpowiada ponuro Don Jose. Zołzikiewicz budzi się po raz drugi; Eskurial staje się znów murowańcem; świeca się pali, mucha przy knocie trzeszczy - i pryska błękitnymi kropelkami; we drzwiach stoi Rzepa, a za nim... pióro wypada mi z ręki... przez pół odchylone drzwi wsadza łeb i kark Kruczek.

Potwór trzyma oczy utkwione w pana Zołzikiewicza i zdaje się uśmiechać.

Zimny pot naprawdę występuje na skronie pana Zołzikiewicza, a przez głowę przelatuje mu myśl: Rzepa przyszedł połamać mi kości, a Kruczek z drugiej strony...

- Czego tu obaj chcecie? - woła wystraszonym głosem.

Ale Rzepa kładzie rubla na stół i odzywa się pokornie:

- Jelemożny pisarzu! a to ja przyszedłem wedle... tej branki.

- Won! won! won! - krzyknie na to Zołzikiewicz, w którego nagle duch wstąpił.

I wpadłszy w wściekłość, zrywa się do Rzepy, ale w tej chwili w karlistowskiej ranie zabolalo go srodze, pada więc znowu na poduszki, wydając tylko przygłuszone jęki:

- Oj, jej!

Rozdział III

ROZMYŚLANIA I EUREKA

Rana ogniła się.

Widzę, jak piękne czytelniczki poczynają łzy ronić nad moim bohaterem, a zatem, nim która z nich zemdleje, pośpieszam dodać, że jednak bohater nie umarł z tej rany. Przeznaczonym, mu było żyć jeszcze długo. Zresztą gdyby umarł, złamałbym pióro i skończył powieść, ale że nie umarł, ciągnę więc dalej.

Owóz więc rana ogniła się, ale nadspodziewanie wyszła na korzyść kanclerzowi z Baraniej Głowy, a stało się to bardzo prostym sposobem: ściągnęła mu humory z głowy, więc zaczął myśleć jaśniej i zaraz po-znał, że robił dotychczas same głupstwa. Bo tylko proszę posłuchać: kanclerz zagiął sobie, jak mówią w Warszawie, parol na Rzepową i nie dziwić się mu, bo też to była kobieta, jakiej drugiej nie znaleźć w całym powiecie osłowski, chciał się więc pozbyć Rzepy. Gdyby raz Rzepę wzięli do wojska, kanclerz mógłby sobie powiedzieć: „hulaj dusza bez kontusza”. Ale nie tak łatwo było zamiast wójtowego syna podsunąć Rzepę. Pisarz jest potęgą: Zołzikiewicz był potęgą między pisarzami, to jednak nieszczęście, że w sprawie poboru nie był ostatnią instancją. Tu przychodziło mieć do czynienia ze strażą ziemską, z komisją wojskową, z naczelnikiem powiatu, z naczelnikiem straży, które to wszystkie osobistości bynajmniej nie były Interesowne, żeby zamiast Buraka obdarzyć armię i państwo Rzepą. „Umieścić go w spisie wojskowym? i cóż dalej?” - pytał siebie mój sympatyczny bohater. Spisy sprawdzają, a że metryki muszą być załączone i że Rzepie trudno także zakneblować usta, dadzą więc nosa, zrzucą może jeszcze z pisarstwa, i skończyło się.

Najwięksi ludzie pod wpływem namiętności robili głupstwa, ale w tym właśnie ich wielkość, że poznawali się na tym dość wcześnie. Zołzikiewicz powiedział sobie, że obiecawszy Burakowi zaciągnąć Rzepę na listę popisowych, uczynił pierwsze głupstwo; poszedłszy do Rzepowej i napadłszy ją przy mędlicy, uczynił drugie głupstwo; przestraszywszy ją i męża poborem, uczynił trzecie głupstwo. O, chwilo szczytna! w której mąż prawdziwie wielki mówi sobie: jestem osłem! nadeszłaś wówczas i dla Baraniej Głowy, zleciałaś jakoby na skrzydłach z tej krainy, gdzie wzniosłe wspiera się na szczytnym, bo Zołzikiewicz powiedział sobie wyraźnie: jestem osłem!

Czyż jednak miał porzucić plan teraz, kiedy oblał go już krwią własnych... (w

zapale powiedział: własnych piersi), miałaby porzucić plan, gdy uświęcił go nowiutką parą kortowych, za którą nie zapłacił jeszcze Srulowi, i parą nankinowych, którą sam nie wiedział, czy dwa razy miał na sobie.

Nie i nigdy!

Przeciwnie, teraz gdy do projektów na Rzepową przyłączyła się jeszcze chęć zemsty nad obojgiem i nad Kruczkiem z nimi razem, Zołzikiewicz przysiągł sobie, że kpm będzie, jeżeli Rzepie sadła za skórę nie zaleje.

Myślał więc nad sposobami pierwszego dnia, zmieniając okłady, myślał drugiego, zmieniając okłady, myślał trzeciego, zmieniając okłady, i czy wiecie, co wymyślił? Oto nic nie wymyślił!

Na czwarty dzień przywiózł mu stójka z osłowickiej apteki *diachylum*; Zołzikiewicz rozsmarował na płatek, przyłożył i - co za cudowne skutki tego medicamentum! - prawie jednocześnie wykrzyknął: „Znalazłem!” Istotnie coś znalazł.

Rozdział IV

KTÓRY BY MOŻNA ZATYTUŁOWAĆ: ZWIERZ W SIECI

W kilka dni potem, nie wiem dobrze, czy w pięć, czy w sześć, w alkierzu karczmy baraniogłowskiej siedział wójt Burak,- ławnik Gomuła i młody Rzepa. Wójt wziął za szklanekę.

- Przestalibyście się o to swarzyć, kiedy nie mata o co! - rzekł wójt.

- A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi - mówi Gomuła uderzając pięścią o stół.

- Prusak, psia j ucha, chytry! - odparł Rzepa.

- To co, że chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.

- Co wy wieta. Namocniejszy jest Harubanda (Garibaldi)!

- Musiście wstali do góry... plecami. A wyście skąd wyrwali Harubandę?

- Co go miałem wrywać? A bo to ludzie nie gadali, że pływał po Wiśle ze statkami i z mocą wielgą? Ino mu się piwo w Warszawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i wrócił.

- Nie bluźnilibyście po próżnicy, Kuźden śwab to je Żyd.

- Przecie Harubanda nie śwab.

- Ino co?

- Ba? co? musi: cysarz, i basta!

- Oj, strasnieście mądrzy!

- Wyśta też nie mądrzejsi.

- A kiejsła tacy mądrzy, to powidzta, jak ta było na przezwisko pierwszemu rodzicowi?

- Jak? juści: - Jadam.

- No! to na krzestme imię, ale na przezwisko?

- Czy ja wiem.

- A widzita? A ja wiem. Na przezwisko było mu: „Skruszyła”

- Chybaście pypcia dostali.

- Nie wierzyła, to posłuchaj ta:

Gwiazdo morza, któraś
Pana Mlekiem swoim wykarmiła!
Tyś śmierci szczep, który wszczepił
Pierwszy rodzic, skruszyła.

- A co, czy nie Skruszyła?

- No juści prawda.

- Napilibyśta się lepiej - rzekł wójt.

- Zdrowie wasze, kumie!

- Zdrowie wasze!

- Haim!

- Siulim!

- Daj Panie Boże szczęście!

Wypili wszyscy trzej, ale że to było w czasie francusko-pruskiej wojny, ławnik więc Gomuła znowu wrócił do polityki.

- No! napijwa się jeszcze - rzekł po chwili Burak.

- Daj Panie Boże szczęście!

- Panie Boże zapłać!

- No, za wasze zdrowie!

Napili się znowu, a że pili arak, Rzepa więc uderzył wypróżnioną szklanką o stół i odrzekł:

- Ej! dobroć też to, dobroć!

- Ano jeszcze? - rzekł Burak.

- Nalej ta!

Rzepa stawał się coraz czerwiejszy, Burak dolewał mu ciągle.

- A wy -rzekł wreszcie do Rzepy - to choć korzec grochu zarzucita na plecy jedną ręką, a balibyśta się pójść na wojnę?

- Co bym się miał bać? Kiej się bić, to się bić. Gomuła na to rzekł:

- Jenszy jest mały, a odważny, jenszy wielgi i mocny, i bojący.

- A nieprawda! - rzekł Rzepa - ja ta nie jestem bojący.

Gomuła zaś na to:

- Kto was tam wie?

- A ja powiadam - odparł Rzepa, pokazując pięść jak bochenek chleba - że ino bym was zajechał w pacierze tą pięścią, to rozlecielibyście się jak stara beczka.

- A może i nie.

- Chceta spróbować?

- Dajta spokój - wtrącił wójt. - Bedzieta się bili czy co? Ot napijwa się jeszcze.

Napili się znowu, ale Burak i Gomuła tylko że umoczyli usta, Rzepa zaś wypił całą szklanekę araku, aż mu oko zbiełało.

- Pocałujta się teraz - rzekł wójt.

Rzepa aż się rozplakał przy uściskach i pocałunkach, co było znakiem, że już podpił dobrze; po czym zaczął wyrzekać, gorzko wspominając graniaste ciele, które dwa tygodnie temu zdechło mu w nocy w oborze.

- Oj! jakiego to cielaka Pan Bóg zabrał ode mnie! - wołał żałośnie.

- No, nie smućta się! - rzekł Burak. - Do pisarza z urzędu przyszło pisanie, że pono dworski las pójdzie na gospodarzy.

Rzepa odpowiedział na to:

- I po sprawiedliwości! Albo to pan las siał? Ale potem zaraz znów zaczął zawodzić:

- Oj! co cielak był, to cielak; jak ta krowę huknął łbem przy ssaniu, to aż zadem pod belkę poleciała.

- Pisarz mówił...

- Co mi ta pisarz! - przerwał gniewnie Rzepa. - Pisarz dla mnie:

Tyle znaczy,
Co Ignacy...

- Nie pomstowalibyście! Napijwa się! Napili się jeszcze raz. Rzepa jakoś się pocieszył i siadł spokojnie na zydlu, a wtem drzwi się otworzyły i ukazały się w nich: zielona czapka, zadarty nos i kozia bródka pisarza.

Rzepa, który czapkę miał nasuniętą na tył głowy, zrzucił ją zaraz na ziemię, powstał i wybełkotał:

- Pochwalony.
- Jest tu wójt? - spytał pisarz.
- Jest! - odpowiedziały trzy głosy.

Pisarz zbliżył się, zaraz też podleciał i Szmul arendarz z kieliszkiem araku. Zołzikiewicz powąchał, skrzywił się i siadł przy stole.

Chwilę panowało milczenie. Na koniec Gomuła zaczął:

- Panie pisarzu?
- Czego?
- Czy to prawda wedle tego boru?
- Prawda. Musicie tylko podpisać prośbę całą gromadą.
- Ja tam nie będę podpisywał - ozwał się Rzepa, który miał wstręt wspólny wszystkim chłopom do podpisywania swego nazwiska.
- Ciebie się też nikt nie będzie prosił. Nie podpisiesz, to nic nie dostaniesz. Twoja wola.

Rzepa zaczął się drapać w głowę, pisarz zaś, zwróciwszy się do wójta i do ławnika, rzekł tonem urzędowym:

- O lesie prawda, ale każdy musi ogrodzić swoją część płotem, żeby nie było sporów.
- To-ta płot będzie więcej kosztował, niż las wart - wtrącił Rzepa.

Pisarz nie zwracał na niego uwagi.

- Na kosztą płotu - mówił do wójta i ławnika - rząd przysyła pieniądze. Jeszcze każdy na tym zarobi, bo wypada po pięćdziesiąt rubli na głowę.

Rzepie aż się oczy zaiskrzyły po pijanemu.

- A, jak tak, to podpiszę. A pieniądze gdzie są?
- Są u mnie - rzekł pisarz. - A to dokument.

To rzekłszy, wydobył złożony we czworo papier i odczytał coś, czego chłopci wprawdzie nie rozumieli, ale radowali się bardzo; gdyby jednak Rzepa był trzeźwiejszy, dojrzałby, jak wójt mrugał na ławnika.

Potem, o dziwo! pisarz wydobywszy pieniądze rzekł.

- No! który pierwszy?

Podpisywali kolejno, gdy zasię Rzepa wziął się do pióra, Zołzikiewicz usunął dokument i rzekł:

- A może nie chcesz? To wszystko dobrowolnie.

- Co nie mam chcieć? A pisarz na to:

- Szmul!

Szmul ukazał się we drzwiach.

- Ny? co pan pisarz chce?

- Chodź i ty za świadka, że tu wszystko dobrowolnie.

A potem znów powiada do Rzepy:

- Może nie chcesz?

Ale Rzepa już podpisał i żyda usadził nie gorszego od Szmula, potem wziął pieniądze od pisarza, całych pięćdziesiąt rubli, i schowawszy je za pazuchę, zawołał:

- A dajta no jeszcze haraku!

Szmul przyniósł: wypili raz i drugi. Następnie Rzepa wsparł pięści na kolanach i począł drzemać.

Kiwnął się raz, kiwnął się drugi raz, na koniec zwałił się z zydlą, mruknawszy: „Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!”, i usnął.

Rzepowa nie przyszła po niego, bo wiedziała, że jeśli się upił, to może się jej co oberwać. Tak i bywało. Na drugi dzień Rzepa przeproszał żonę, całował ją po rękach. Po trzeźwemu nie dał jej nigdy złego słowa, ale po pijanemu czasem jej się co obrywało.

Przespał więc Rzepa w karczmie całą noc. Nazajutrz rozbudził się o wschodzie słońca. Patrzy, wyłupia oczy, aż to nie jego chałupa, ale karczma, i nie alkierz, w którym siedział wczoraj, ale - ogólna izba z szynkwasem.

- Imię Ojca i Syna, i Ducha.

Patrzy jeszcze lepiej, słońce już wschodzi i zagląda przez ubarwione szyby za szynkwasa, a w oknie stoi Szmul, ubrany w śmiertelną koszulę i w cycełe na głowie; stoi w oknie i kiwa się, i modli się głośno.

- Szmul! psiawiaro! - zawołał Rzepa. Ale Szmul nic. Kiwnął się naprzód, kiwnął w tył i modlił się dalej.

Więc Rzepa zaczął się macać, jak robi każdy chłop przespawszy noc w karczmie. Namacał pieniądze.

- Jezus Maryja! a to co?

Tymczasem Szmul przestał się modlić i zdjawszy śmiertelną koszulę i cycełe poszedł je schować do alkierza, a potem wrócił wolnym, krokiem poważnym i spokojnym.

- Szmul!

- Ny, czego chcesz?

- Co to ja mam za pieniądze?

- Co, głupi, nie wiesz? Toć się wczoraj z wójtem zgodziłeś, że za jego syna będziesz losował, i pieniądze wzięłeś, i kontrakt podpisałeś.

Dopiero chłop zbladł jak ściana: rzucił czapkę o ziemię, potem sam grzotnął się o nią i jak nie ryknie, aż się szyby w karczmie zatrzęsły.

- No, pasioł won, ty sałdat! - rzekł flegmatycznie Szmul.

W pół godziny potem Rzepa zbliżał się do chałupy.

Rzepowa, która właśnie gotowała strawę, usłyszawszy go, jak skrzypiał wrotami, prosto od komina pobiegła na jego spotkanie gniewna bardzo.

- Ty pijaku! - zaczęła.

Ale spojrzawszy na niego, aż się sama przeraziła, bo ledwo go poznała!

- A tobie co jest?

Rzepa wszedł do chaty i z początku ani słowa nie mógł przemówić, tylko siadł na ławie i patrzył w ziemię. Ale kobieta zaczęła pytać i dopytała wreszcie wszystkiego. „Zaprzędali mnie” - rzekł w końcu. Wówczas ona z kolei uderzyła w lament wielki; on za nią; dzieciak w kołysce zaczął wrzeszczeć; Kruczek we drzwiach wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylatywały baby z łyżkami w rękę, pytając jedna drugiej:

- Co się tam u Rzepów stało?

- Musiał ją bić czy co?

A tymczasem Rzepowa lamentowała jeszcze bardziej niż Rzepa, bo miłowała ona jego, nieboga, nad wszystko w świecie.

Rozdział V

W KTÓRYM POZNAJEMY CIAŁO PRAWODAWCZE BARANIEJ GŁOWY I GŁÓWNYCH JEGO PRZYWÓDCÓW

Nazajutrz było posiedzenie sądu gminnego. Ławnicy poschodzili się z całej gminy, z wyjątkiem panów, alias szlachty, z której jakkolwiek kilku w powiecie było ławnikami, ale tych kilku, nie chcąc różnić się od ogółu, trzymało się polityki angielskiej, to jest zasady nieinterwencji, tak zachwalanej przez znakomitego męża stanu Johna Bright. Nie wyłączało to jednak pośredniego wpływu „inteligencji” na losy gminne. Jeśli bowiem ktoś z „inteligencji” miał sprawę, wówczas w wigilię posiedzenia zapraszał pana Zołzikiewicza do siebie; przynoszono następnie do pokoju przedstawiciela inteligencji wódeczkę, podawano cygara i wtedy obgadywała się rzecz

z łatwością. Potem następował obiad, na który zapraszano pana Zołzikiewicza uprzejmymi słowami: „Ano siadaj, panie Zołzikiewicz! siadaj!”

Pan Zołzikiewicz też siadał, a na drugi dzień mawiał niedbale do wójta: „Byłem wczoraj na obiedzie u Miedziszewskich, Skorabiewskich lub Ościerzyńskich. Hm! córka w domu jest: rozumiem, co to znaczy!” Przy obiedzie zaś pan Zołzikiewicz starał się zachowywać dobre maniery, jeść rozmaite zagadkowe potrawy, tak jak uważał, że inni jedzą, i nie okazywać przy tym, jakoby ta poufałość z dworem miała go zbyt cieżko cieszyć.

Był to człowiek pełen taktu, który wszędzie umiał się znaleźć; dlatego też nie tylko nie tracił w takich razach śmiałości, ale wtrącał się do rozmowy, wspominając przy tym „tego pocziwego komisarza” lub „tego wybornego sobie naczelnika”, z którymi wczoraj lub onegdaj machnął małą pulkę po kopiejce punkt. Słowem, starał się okazać, że jest za pan brat z pierwszymi powagami w osłowskiem powiecie. Uważał wprawdzie, że w czasie jego opowiadań panie dziwnie jakoś patrzyły w talerze, ale sądził, że to taka moda. Po obiedzie dziwiło go także nieraz, że szlachcic, nie czekając, aż on się zżegnać zacznie, klepał go w łopatkę i mówił: „No to bywaj zdrów, panie Zołzikiewicz!”, ale znów sądził, że to w dobrych towarzystwach przyjęte. Przy tym ściskając na pożegnanie rękę gospodarza domu, uczuwał w niej zawsze coś szeleszczącego. Wówczas zginał palce i drapiąc szlachcica w dłoń, wygarniał z niej to „coś szeleszczącego”, nie zapominając nigdy dodać: „A, panie dobrodzieju! między nami to niepotrzebne! a co do sprawy, może pan dobrodziej być spokojny!”

Przy tak sprężystym zarządzie i przy wrodzonych talentach pana Zołzikiewicza, sprawy gminne szłyby zapewne jak najlepiej, gdyby nie jedno nieszczęście, a mianowicie, że pan Zołzikiewicz w niektórych tylko sprawach zabierał głos i tłumaczył sądowi, jak należy ze stanowiska prawnego na rzecz się zapatrywać; resztę zaś spraw, zwłaszcza nie poprzedzonych niczym szeleszczącym, pozostawiał samodzielnemu uznaniu sądu i podczas przebiegu ich spokojnie siedział, ku wielkiemu zaniepokojeniu ławników, którzy wówczas czuli się po prostu bez głowy.

Ze szlachty, a wyrażając się ściślej, z panów, jeden, tylko pan Floss, dzierżawca Małych Postępowic, bywał początkowo, jako ławnik, na sądach gminnych i twierdził, że inteligencja powinna w nich brać udział. Ale miano mu to powszechnie za złe. Szlachta twierdziła bowiem, że pan Floss musi być „czerwony”, czego zresztą i samo nazwisko jego: Floss, dowodziło; chłopci zaś w demokratycznym poczuciu własnej odrębności utrzymywali, że nie wypada siadać panu na jednej ławie z chłopami, czego najlepszym dowodem jest, że „jensze panowie tego nie robią”. W ogóle chłopci mieli do zarzucenia panu Flossowi to, że nie jest panem z panów, że zaś nie lubił go i pan Zołzikiewicz, bo pan Floss nie starał się niczym szeleszczącym zasłużyć na jego przyjaźń, a raz na posiedzeniu, jako ławnik, nakazał mu nawet milczenie, niechęć więc ku niemu była powszechna; skutkiem czego usłyszał pewnego pięknego poranku, wobec całej gminy, z ust siedzącego obok ławnika, co następuje: - „Albo to wielmożny pan - to pan? Pan Ościeszński - to jest pan, pan Skorabiewski - to jest pan, a wielmożny pan - to nie pan, ino dorobiec.” Usłyszawszy to pan Floss, który właśnie także kupił był jakoś w owym czasie Kruchą Wolę, plunął na wszystko i gminę pozostawił gminie, lak jak w swoim czasie miasto pozostawiono miastu. Szlachta zaś mówiła: „doigrał się”, przy czym na obronę zasady nieinterwencji przytaczano jedno z przysłów, stanowiących mądrość narodów, które miało dowodzić, że chłopca ulepszyć nie można.

Gmina tedy, nie zakłócona udziałem „inteligencji”, radziła o własnych sprawach bez pomocy powyższego pierwiastku, a za pośrednictwem tylko baraniogłowskiego rozumu, który przecież dla Baraniej Głowy powinien być wystarczającą, na mocy tejże zasady, na mocy której paryski rozum wystarcza dla Paryża. Zresztą pewną jest rzeczą, że praktyczny rozsądek albo inaczej tak zwany: „zdrowy chłopski rozum” więcej jest wart od każdej obcożywiolowej inteligencji, że zaś mieszkańcy kraju z urodzenia już ów „zdrowy rozum” na świat przynoszą, to - zdaje mi się - nie potrzebuje być dowodzonym.

Okazało się to także zaraz w Baraniej Głowie, gdy na posiedzeniu, o którym mowa, odczytano zapytanie z urzędu, czy gmina nie zechce własnym kosztem, na przestrzeni swych gruntów, naprawić gościńca wiodącego do Osłowic. Projekt ten w ogóle nadzwyczaj nie podobał się zgromadzonym potres conscripti, jeden zaś z miejscowych senatorów wyraził świątły pogląd, że gościńca nie ma potrzeby naprawiać, bo można jeździć przez łąkę pana Skorabiewskiego. Gdyby pan Skorabiewski był obecny na posiedzeniu, byłby zapewne znalazł coś do nadmienienia przeciwko temu pro publico bono, ale pana Skorabiewskiego nie było i on bowiem trzymał się zasady nieinterwencji. Projekt więc byłby przeszedł niezawodnie unanimitate, gdyby nie to, że pan Zołzikiewicz był poprzedniego dnia na obiedzie, podczas którego opowiadał pannie Jadwidze scenę uduszenia dwóch generałów hiszpańskich w Madrycie, wyczytaną w *Izabeli hiszpańskiej* wydawnictwa pana Breslauera, po obiedzie zaś, przy uściśnięciu dłoni pana Skorabiewskiego, poczuł w rękę coś szeleszczącego. Pan pisarz tedy, zamiast zapisać poprawkę, położył pióro, co oznaczało zawsze, że pragnie głos zabrać.

- Pan pisarz chce cosik powiedzieć - rozległy się głosy w zgromadzeniu.

- Ja chcę powiedzieć, żeście durnie - odpowiedział z flegmą pan pisarz.

Potęga prawdziwej parlamentarnej wymowy, choćby w najtreściwszej zawarta formie, tak jest wielka, że po powyższym orędziu, oznaczającym protest przeciw poprawce i w ogóle przeciw administracyjnej polityce ciała baraniogłowskiego, ciała wymienione poczęło spoglądać po sobie z niepokojem i drapać się w szlachetne organa myślenia, co u tego ciała było niezawodną oznaką głębszego w rzecz wnikania. Wreszcie po długiej chwili milczenia, jeden z jego reprezentantów ozwał się tonem zapytania:

- Abo co?

- Boście durnie!

- Musi tak być! - ozwał się jeden głos.

- Łąka łąką - dodał drugi.

- A na wiosnę, to nawet bez nią nie przejechać - zakończył trzeci.

Skutkiem tego poprawka, zalecająca łąkę pana Skorabiewskiego, upadła, przyjęto projekt urzędowy i zaczął się rozkład kosztów naprawy gościńca wedle nadesłanego kosztorysu. Sprawiedliwość do tego stopnia była już wkorzeniona w umysły ciała prawodawczego baraniogłowskiego, że nie udało się nikomu wykłócić, z wyjątkiem samego wójta i ławnika Gomuły, którzy natomiast wzięli na siebie ciężar przypilnowania, ażeby wszystko szło jak najprędzej.

Należy jednak wyznać, że tak bezinteresowne poświęcenie się ze strony wójta i ławnika, jak każda cnota wychodząca poza obręb wspólnoty, obudziło pewną zazdrość w innych ławnikach, a nawet wywołało jeden głos protestacji, który ozwał się gniewliwie:

- A wy to dlaczego nie będziecie płacić?

- A cóż my to będziemy darmo pieniądze dawać, kiej tego, co wy zapłaciła, wystarczy - powiedział na to Gomuła.

Był to argument, na który - spodziewam się - nie tylko zdrowy rozsądek baraniogłowski, ale i żaden inny nie znalazłby odpowiedzi; głos zatem protestującego umilkł na chwilę, a po chwili odrzekł tonem przekonania:

- A prawda!

Sprawa była całkowicie ukończona i przystąpiono by zapewne bezzwłocznie do roztrząsania innych, gdyby nie nagle a niespodziewane w targnięcie do izby prawodawczej dwóch prosiąt, które, wpadłszy jak szalone przez nie domknięte drzwi, zaczęły bez żadnej rozumnej przyczyny latać po izbie, kręcić się pod nogami i kwiczeć wniebogłose. Oczywiście, obrady zostały przerwane, ciało prawodawcze zaś rzuciło się w pogoń za intruzami i przez pewien czas deputowani z rzadką jednomyślnością powtarzali: „a syk! a ciu! ażeby was paralus!” i tym podobne. Prosięta tymczasem zabiły się pod nogi pana Zołzihiewicza i splamiły mu jakąś zielonością drugą parę kortowych koloru piaskowego, a która to zieloność wyprać się nie dała, choć pan Zołzikiewicz zmywał ją glicerynowym mydłem i tarł własną szczoteczką od zębów.

Dzięki jednak stanowczości i energii, która jak nigdy tak i w tym wypadku nie opuściła przedstawicieli gminy baraniogłowskiej, prosięta zostały pochwycone za zadnie nogi i mimo najusilniejszych protestacyj wyrzucone za drzwi, po czym już można było przejść do porządku dziennego. Na porządku tym znajdowała się obecnie sprawa włościanina imieniem Środa ze wzmiankowanym wyżej panem Flossem. Zdarzyło się, że woły Środy, najadłszy się w nocy koniczyny pana Flossa, nad ranem opuściły ten padół łez i nędzy, przeniósłszy się do lepszego - wołowego świata. Zrozpaczony Środa przedstawił całą tę smutną sprawę sądowi prosząc o poratowanie i sprawiedliwość.

Sąd, wniknąwszy w głąb rzeczy, z właściwą sobie bystrością doszedł do przekonania, że choć Środa puścił umyślnie woły na pole Flossa, jednakże gdyby na tym polu rósł np. owies alba pszenica, nie ta zaś „gadzina” koniczyna, woły cieszyłyby się dotychczas najlepszym i najpożądniejszym zdrowiem i z pewnością nie doznałyby tych smutnych przypadłości rozděcia, których padły ofiarą. Wychodząc z tej premisy większej i przechodząc drogą równie logiczną, jak ściśle prawną, do mniejszej, sąd wniósł, że przyczyną śmierci wołów w każdym razie nie był Środa, ale pan Floss; zatem pan Floss powinien Środzie za woły zapłacić, tytułem zaś przestrogi na przyszłość wnieść do kasy gminnej na kancelarię rs. 5. Suma powyższa, na wypadek gdyby obwiniony wypłaty jej odmówił, miała być ściągniętą z jego pachciarza Icka Zwejnos.

Następnie sądzono jeszcze wiele spraw natury cywilnej, wszystkie zaś one, o ile dotyczyły bliżej lub dalej genialnego Zołzikiewicza, były sądzone zupełnie

samodzielnie, a przy tym na wagach czystej sprawiedliwości, zawieszonych na zdrowym baraniogłowskim rozumie. Dzięki przy tym angielskiej zasadzie nieinterwencji, jakiej trzymała się wspomniana już wyżej „inteligencja”, powszechna zgoda i jednomyślność rzadko tylko bywały zakłócane ubocznymi wzmiankami o paraliżu, przegniciu wątroby i morowej -zarazie, wypowiedzanymi sobie mimochodem w kształcie życzeń, tak przez strony sporne, jak i przez samych sędziów.

Sądzę, że również dzięki tej nieocenionej zasadzie nieinterwencji, wszystkie sprawy mogły być rozstrzygane w ten sposób, że tak strona wygrywająca, jak i przegrywająca wnosili zawsze pewne kwoty, stosunkowo dość znaczne, „na kancelarię”. Zapewniało to ubocznie tak pożądaną w instytucjach gminnych niezależność wójta i pisarza, a wprost mogło oduczyć ludzi pieniactwa i podnieść moralność gminy Barania Głowa do stanu, o jakim na próżno marzyli filozofowie XVIII stulecia. Godnym było uwagi także i to, o czym zresztą wstrzymujemy się od wypowiedzenia pochwalnego lub nagannego zdania, że pan Zołzikiewicz zapisywał do ksiąg zawsze tylko połowę kwot przeznaczonych na kancelarię, druga zaś połowa przeznaczona była na „nieprzewidziane wypadki”, w jakich znaleźć się mogli pisarz, wójt i ławnik Gomuła.

Na koniec przystąpiono do sądzenia spraw kryminalnych, skutkiem czego wydano rozkaz stojce przyprowadzenia więźniów i stawienia ich przed oblicze sądu. Nie potrzebuję dodawać, że w gminie Barania Głowa przyjęty był najnowszy i najbardziej zgodny z wymaganiami cywilizacji system więzienia celularnego, czyli komórkowego. Nie może to być podawanym przez złe języki w żadną wątpliwość. Jeszcze dziś każdy może się przekonać, że w wójtowskim chlewku w Baraniej Głowie znajdują się aż cztery przegrody. Więźniowie siedzieli w nich samotnie, w towarzystwie zwierząt, o których pewna *Zoologia dla użytku młodzieży* mówi: „Świnia, zwierzę słusznie tak nazwane dla swojej niechlujności” etc., a którym natura bezwarunkowo odmówiła rogów, co może także służyć za dowód jej celowości. Otóż więźniowie, siedzieli w komórkach tylko w takim towarzystwie, co jak wiadomo nie mogło im przeszkadzać w oddawaniu się refleksji, rozmyśleniom nad złem popełnionym i przedsięwzięciu poprawy życia.

Stójka tedy udał się bezzwłocznie do owego celkowego więzienia i z celek jego przyprowadził przed oblicze sądu nie dwóch, ale wyraźnie dwoje przestępców, z czego czytelnik może wniesć łatwo, jak delikatnej natury i jak głęboko psychologicznie zawikłane sprawy przychodziło czasem baraniogłowskiemu sądowi rozstrzygać. Jakoż istotnie, sprawa była arcydelikatna. Pewien Romeo, inaczej zwany Wach Rechnio, i pewna Julia, inaczej zwana Baśka Żabianka, służyli razem u pewnego gospodarza: on za parobka, ona za dziewczkę. I co tu ukrywać, kochali się, nie mogąc żyć bez siebie, tak jak Newazendech bez Bezewendecha. Wkrótce jednak zazdrość wkradła się między Romea i Julię, ponieważ ta ostatnia ujrzała raz Romea, zabawiającego się przydługu z Jagną ze dworu. Odtąd nieszczęśliwa Julia czekała tylko okazji. Jakoż pewnego dnia, gdy Romeo, wedle zapatrywania się Julii, za wcześnie przyszedł z pola i natarczywie domagał się jeść, przyszło do wybuchu i zobopólnych wyjaśnień, przy czym zamieniono wzajemnie kilka tuzinów uderzeń pięścią i warząchwią. Oczywiście ślady tych uderzeń widne były w sińcach na idealnej twarzy Julii, również jak i na rozciętym czole pełnego męskiej dumy oblicza Romea. Sądowi pozostawało te-raz zawyrokować, po czyjej stronie była słuszność i kto komu miał wręczyć tytułem wynagrodzenia, tak za zawód miłosny, jak i za skutki wybuchu, złotych pięć, czyli, wyrażając się poprawnie, kop. sr. siedemdziesiąt pięć.

Zdrowej duchowej treści sądu nie zdołał jeszcze owionąć przegniły powiew Zachodu; dlatego brzydząc się do głębi duszy emancypacją kobiet, jako rzeczą wprost przeciwną więcej sielankowym usposobieniom słowiańskim, sąd dał pierwszy głos Romeowi, który, trzymając się za rozcięty łeb, tak mówić począł:

- Jelemożny sądzie! A to ta psiajucha już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedłem, jak kto dobry, na podwieczerek, a ona do mnie: „Ty psie, kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu, a ty, pada, przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układasz i będziesz na mnie mrygał?” A ja ta nigdy na nią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora, com jej pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem i pożreć nie dalia, tylko tak mi wymyślała: „Ty pogański synu, pada, ty odmieńcze, ty omętro, ty sufraganie!” Dopiero, jak mi powiedziała: „sufraganie”, tak ja ją w pysk, ale ino tak, przez złości, a ona mnie warząchwiał w łeb...

Tu idealna Julia nie mogła już wytrzymać, ale złożywszy pięść i podsunąwszy ją pod nos Romea, krzyknęła przeraźliwym głosem:

- A nieprawda! nieprawda! nieprawda! Szczekasz jak pies!

Potem rozplakała się całym wezbranym sercem i zwróciwszy się do sądu, poczęła wołać:

- Jelemożny sądzie! O! ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga rety! Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam, żeby ich olśnęło! Rozpuśniku! powiadam, małoś ty razy „gadoł” do mnie, co mnie tak kochasz, żebyś ino zaraz chciał mnie pięścią pod ziobro! A żeby on skapiał, żeby jemu język kołem stanął! Nie warząchwiał by jego po łbie, oj! dołóż moja! ino kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola schodzi i zreć woła! Mówię mu, jak kemu dobremu, grzecznie: ty złodziejski potrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom? Ale „sufraganie” mu nie mówiłam, tak mi Panie Boże dopomóż. A żeby jego...

W tym miejscu wójt przywołał do porządku obwinioną, uczyniwszy jej uwagę w kształcie zapytania:

- Nie stuliszże ty mordy, utrapiona? Nastała chwilowa cisza; sąd począł się namyślać nad wyrokiem i - co za delikatne poczucie sytuacji! - pięciu złotych nie przysądził żadnej Stronie, ale tylko tak dla zachowania swej powagi, jak i dla przestrogi wszystkim zakochanym parom w całej Baraniej Głowie, skazał skarżących się na odsiedzenie jeszcze dwudziestu czterech godzin w celkowym więzieniu i na zapłacenie na kancelarię po rubli srebrem jeden.

„Od Wacha Rechnia i Baški Żabianki na kancelarię po kopiejek srebrem pięćdziesiąt”, zapisał pan Zołzikiewicz.

Po czym posiedzenie było skończone. Pan Zołzikiewicz wstał i pociągnął swoje kortowe koloru piaskowego w górę, a fioletową kamizelkę na dół. Ławnicy, w zamiarze rozejścia się, już brali za czapki i bicze, gdy nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt rozwarły się na oścież i ukazał się w nich Rzepa chmurny jak noc, a za nim Rzepowa i Kruczek.

Rzepowa była bledziusia jak płótno; jej śliczne delikatne rysy wyrażały smutek i pokorę, a w wielkich czarnych oczach ukazywały się łzy, ściekające następnie po

policzkach.

Rzepa wszedł było hardy, z głową zadartą, ale jak zobaczył cały sąd, tak zaraz stracił minę i dość cichym głosem ozwał się:

- Niech będzie pochwalony!

- Na wieki wieków! - odpowiedzieli chórem ławnicy.

- A wy tu czego chceta? - spytał groźnie wójt, który zrazu zmieszał się, ale już przyszedł do siebie. - Sprawę jaką mata? Pobiliście się czy co?

Nadspodziewanie pan pisarz wtrącił:

- Dajcie im mówić. Rzepa zaczął:

- Jelemożny sędzie... A niech to najjaśniejsze...

- Cichaj! Cichaj! - przerwała prędko kobieta i - dajże mnie mówić, a ty cicho siedź.

To rzekłszy, obtarła fartuchem łzy i nos i głosem drgającym poczęła opowiadać całą sprawę. Ach! ale gdzież to ona przyszła? Oto przyszła na skargę na wójta i na pisarza przed... wójta i pisarza. „Wzięli go, mówiła, obiecowali mu las, byle podpisał, to i podpisał. Dali mu pięćdziesiąt rubli, a on był pijany i nie wiedział, że zaprzedał dolę swoją i moją, i dzieciaka. Pijany był, wielmożny sędzie, pijany, jak nieboskie stworzenie! - mówiła dalej już z płaczem. - Toć pijany nie wie, co robi, toć i w sędzie, jak kto po pijanemu przeskrobie, to mu folgują, bo powiadają: nie wiedział, co robił. Na miłosierdzie Boże! a toć trzeźwy człowiek nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojej! Oj, ulitujta wy się nade mną i nad nim, i nad dzieckiem niewinnym! W co ja się obrócę nieszczęśliwa sama, samusieńka na świecie bez niego, bez nieboracyska mojego! Oj, Bóg wam za to da „szczęście i zapłaci wam za biedaków!”

Tu łkanie przerwało jej dalsze słowa. Rzepa także płakał i wycierał co chwila nos w palce. Ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc, co czynić.

Aż Rzepowa znowu zebrała się z głosem i tak mówić poczęła:

- Chłopsko chodzi jak struty. Ciebie, powiada, zabiję, dzieciaka zgładzę, chałupę spalę, a powiada, nie pójdę i nie pójdę. A cóżem ja winna, nieboga? albo i dzieciak? On już ani do gospodarstwa, ani do kosa, ani do siekaery, ino siedzi w izbie i wzdycha, i wzdycha, ale ja sądu czekałam; toć wy ludzie macie Boga w sercu i na naszą krzywdę nie pozwolicie. Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! przyczyn-że Ty się, przyczyn za nami.

Przez chwilę słyhać znów było tylko szlochanie Rzepowej, na koniec stary jeden ławnik mruknął:

- A, dyć to nieładne człeka upoić i zaprzedać.

- Bo i nieładne! - odpowiedzieli inni.

- Niech was Bóg i Przenajświętsza Jego Rodzicielka błogosławi - zawołała klękając w progu Rzepowa.

Wójt zasromał się, niemniej markotny był i ławnik Gomuła; obaj zaś spoglądali na pisarza, który milczał, ale gdy Rzepowa skończyła, rzekł do mruczających ławników:

- Jesteście durnie!

Nastała cisza, jak makiem siał, pisarz mówił dalej:

- Wyraźnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony morskim sądem, a czy wiecie, durnie, co to jest morski sąd? Wy tego, durnie, nie. wiecie, morski sąd to jest... Tu wydobyl chustkę i utarł nos, potem głosem zimnym i urzędowym tak dalej swoją rzecz prowadził:

- Który, kpie jeden z drugim, me wiesz, co jest morski sąd, to wsadź tylko nos w taką sprawę, a poznasz, co jest morski sąd, aż cne siódma skóra zaboli. Jak się ochotnik znajdzie za popisowego, to tobie jednemu z drugim wtrącać się do nich wara. Ugoda podpisana, świadkowie są, i szabas! To się rozumie w jurysprudencji, a nie wierzysz, to patrz w procedurze i w zsyłkach. A jeśli i piją przy tym, to i cóż? Albo to wy nie pijecie, durnie, zawsze i wszędzie?

Gdyby sama sprawiedliwość z wagą w jednym, a gołym mieczem w drugim rękę wylazła zza wójtowskiego pieca i stanęła nagle między ławnikami, nie byłaby ich więcej przestraszyła jak ten morski sąd, procedury i zsyłki. Przez chwilę panowało głuche milczenie i dopiero po jakimś czasie ozwał się Gomuła cichym głosem, na który obejrżeli się wszyscy, jakby zdziwieni jego śmiałością:

- Dyc prawda! konia sprzedasz, napijesz się, wołu sprzedasz, też; świnię, też. To już taki obyczaj.

- Toćwa napiliśmy się i wtedy ino wedle obyczaju - wtrącił wójt.

A potem ławnicy śmielej zwrócili się do Rzepy.

- Cóż, kiejś sobie piwa nawarzył, to go pij.

- Albo to tobie sześć lat? Albo ty nie wiesz, co robisz?

- Łba ci przecięć nie urwą.

- A jak pójdiesz do wojska, to se do dom możesz parobka nająć: on cię ta zastąpi i przy chałupie, i przy kobiecie.

Wesołość poczęła ogarniać zwolna zgromadzenie. Nagle pisarz znowu otworzył usta: uciszyło się wszystko.

- Ale wy nie wiecie - mówił - w co wam się wtrącać, a czego nie tykać. W to, że Rzepa groził żonie i dzieciakowi, w to, że obiecywał spalić własną chałupę, w to wy się wtrącać możecie i takiej rzeczy płazem nie puścić. Kiedy Rzepowa przyszła na skargę, niechże od sądu bez sprawiedliwości nie odchodzi.

- Nieprawda! nieprawda! - zawołała z rozpaczą Rzepowa - ja się nie skarżyłam, ja ta nigdy żadny krzywdy od mego nie doznałam. O! Jezusie, o rany słodkie Boga żywego, chyba się świat już skończył!

Ale sąd się zagaił i bezpośrednim jego rezultatem było, że Rzepowie nie tylko nic nie wskórali, ale jeszcze sąd, w słusznej troskliwości o całość Rzepowej, postanowił ją

ubezpieczyć przez zamknięcie Rzepy w chlewku na dwa dni. Żeby zaś na przyszłość podobne myśli nie przychodziły mu do głowy, postanowionym było przy tym, żeby ma kancelarię zapłacił rubli srebrem dwa, kopiejek pięćdziesiąt.

Ale Rzepa rzucił się jak wściekły i krzyknął, że do chlewka nie pójdzie; co zaś do kancelaryjnego, to nie dwa, ale pięćdziesiąt rubli wziętych od wójta rzucili na ziemię, wołając: „Niech je se ta bierze, kto chce!” Zaczął się rozgardiasz straszny. Stójka wpadł i dalej Rzepę ciągnąć; Rzepa go pięścią, on Rzepę za łeb; Rzepowa w krzyk, aż jeden z ławników wziął ją za kark i wyrzucił za drzwi, dawszy pięścią w krzyż na drogę, inni zaś pomogli stójce zaciągnąć Rzepę za kołtuny do chlewka.

Pisarz tymczasem zapisał: „Od Wawrzona Rzepy rs. 1 kop. 25 na kancelarię.”

Rzepowa szła do pustej chałupy prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą i co kamień, to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową, a zawodziła:

- Oo! oo! oo!

Wójt, że to miał serce dobre, więc idąc z wolna z Gomułą ku karczmie, rzekł:

- Mnie ta cosik tej baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu, albo co?

Rozdział VI

IMOGENA

Tu spodziewam się, że czytelnik dostatecznie zrozumiał już i ocenił genialny plan mego sympatycznego bohatera. Dał pan Zołzikiewicz, co się nazywa, szach mat Rzepowej i Rzepie. Zapisać Rzepę na listę to do niczego nie wiodło. Ale upoić go, sprawić, żeby sam ugodę podpisał, pieniądze wziął, to trochę wikłało sprawę i było zręcznością dowodzącą, że przy zbiegu okoliczności pan Zołzikiewicz mógłby odegrać znakomitą rolę. Wójt, który był gotów syna za ośmset rubli, to jest zapewne całą swoją „koprowiną”, wykupić, zgodził się ma ten plan z radością, tym bardziej że Zołzikiewicz, równie umiarkowany, jak genialny, wziął dla siebie tylko dwadzieścia pięć rubli za sprawę. Ale on i te pieniądze wziął nie z chciwości, tak jak również nie z chciwości dzielił się kancelaryjnym z Burakiem. Mamże wyznać, że pan Zołzikiewicz był w ciągłych długach u Srula, krawca z Osłowic, który całą okolicę zaopatrywał w „cisto paryską” garderobę.

Ale teraz, gdym już raz wszedł na drogę wyznań, nie będę ukrywał, dlaczego pan Zołzikiewicz ubierał się tak starannie. Płynęło to, zapewne z estetycznego poczucia, ale był i inny powód. Oto pan Zołzikiewicz się koohał. Nie myślcie jednak, żeby w Rzepowej. Na Rzepową miał, jak się kiedyś wyraził sam, „apetycik”, i basta. Ale oprócz tego, pan Zołzikiewicz zdolny był i do uczuć wyżej sięgających i bardziej złożonych. Czytelniczki, jeżeli nie czytelnicy, domyślają się już zapewne, że przedmiotem tych ostatnich uczuć nie mógł być przecie kto inny jak panna Jadwiga Skorabiewska. Nieraz, kiedy na niebie wschodził srebrny księżyc, pan Zołzikiewicz brał harmonijkę, na którym ta instrumencie grywał biegle, siadał na ławce przed czworakami i spoglądając w stronę dworu, przy melancholicznych, a czasem i

sapiących dźwiękach, nucił:

A od samego prawie świtania
Do późnej nocy łyżę leję;
W nocy oddycham, przez ciężkie wzdychania
Straciłem wszelką nadzieję.

Głos biegł w stronę dworu, wśród poetycznej ciszy nocy letnich, a pan Zołzikiewicz dodawał jeszcze po chwili:

O ludzie, ludzie, ludzie nieczuli,
Coście młodzieńca życie zatruli.

Kto by jednak chciał posądzać pana Zołzikiewicza o sentymentalizm, temu wręcz powiem, że się myli. Nadto trzeźwy był umysł tego wielkiego człowieka, aby być sentymentalnym; w marzeniach też jego zwykle panna Jadwiga podstawiała się za Izabelę on za Serrana lub Marforego. Ze jednak rzeczywistość nie odpowiadała marzeniom, więc ten żelazny człowiek raz jeden zdradził się ze swoim uczuciem, a mianowicie wtedy, kiedy pewnego wieczora spostrzegł na sznurze koło drwalni suszące się spódnice i po znakach J. S., wraz z koroną przy rąbku, poznał, że należą do panny Jadwigi. Wówczas, powiedz pan dobrodziej, któż by wytrzymał? Więc i on nie wytrzymał; zbliżył się i począł gorąco całować jedną z tych spódnic, co zobaczywszy dworska dziewczka Małgośka poleciała zaraz do dworu z językiem i doniesieniem, że „pain pisarz nos se w panienki spódnice wyciero”. Na szczęście jednak nie uwierzono temu, i tak uczucie pana pisarza pozostało nie znanym nikomu.

Czy jednak miał jaką nadzieję? Nie bierzcie mu, państwo dobrodziejstwo, tego za złe: miał! Ile razy szedł do dworu, jakiś głos wewnętrzny, słaby wprawdzie, ale nie ustający, szeptał mu do ucha: „A nuż dziś panna Jadwiga w czasie obiadu przydepcie ci nogę pod stołem?...”

- Hm! mniejsza by i o lakierki - dodawał z ową wielkością duszy, właściwą prawdziwie zakochanym.

Czytanie wydawnictw pana Breslauera dawało mu wiarę w możliwość rozmaitych przydeptywań. Ale panna Jadwiga nie tylko mu nic nie przydeptywała, ale - któż zrozumie kobietę?! - patrzyła na niego tak, jakby patrzyła na płot, na kota, na talerz lub coś podobnego. Co on się biedak nie namęczył, żeby zwrócić jej uwagę na siebie. Nieraz, zawiązując niesłychanego koloru krawat lub kładąc jakieś nowe korty z bajecznymi lampasami, myślał sobie: „No, teraz przecie zauważy!” Sam Srul odnosząc mu nowe ubranie mawiał: „Ny! w takich spodniach to choćby z psieprosieniem do hrabianki można iść.” Gdzie tam! Przyszedł, było, na obiad; wchodzi panna Jadwiga, dumna, niepokalana i czysta, jakby jaka królowa; zaszeleści suknią, fałdami i fałdeczkami; potem siada, bierze w cienkie paluszki łyżkę i ani spojrzy.

„Czy ona tego nie rozumie, że to i kosztuje!” - myślał z rozpaczą Zołzikiewicz.

Jednak nadziei nie tracił. „Gdyby tak zostać podrewizorem! - myślał - człowiek by ani nogą ze dworu. Z podrewizora do rewizora niedaleko! człowiek by miał najtyczankę, parę koni, a to choćby już wtedy przynajmniej rękę uściśnęła pod stołem...” Pan Zołzikiewicz zapuszczał się jeszcze w niezmiernie dalekie konsekwencje tego uściśnienia ręki, ale myśli tych, jako zbyt tajemnie-serdecznych,

zdradzać już nie będziemy.

Jaka to jednak była natura bogata ten pan Zołzikiewicz, dowodzi tego łatwość, z jaką obok idealnego uczucia dla panny Jadwigi, które zresztą odpowiadało arystokratycznym usposobieniom tego młodzieńca, mieściło się w nim równoznacznie z „apetycikiem” uczucie do Rzepowej. Prawda, że Rzepowa była śliczna kobieta, co się nazywa; nie byłby jednak zapewne ów baraniogłowski Don Juan tyle jej zachodów poświęcał, gdyby nie dziwna i zasługująca na ukaranie oporność tej kobiety. Oporność w prostej kobiecie - i komu? - jemu, wydawała się panu Zołzikiewiczowi czymś tak zuchwałym, a zarazem niesłychanym, że mię tylko Rzepowa nabrała zairaz w jego oczach uroku zakazanego owocu, ale postanowił przy tym dać jej naukę, na jaką zasługiwała. Zajście z Kruczkiem ustaliło go jeszcze w przedsięwzięciu. Wiedział jednak, że ofiara będzie się bronić, dlatego wymyślił ową dobrowolną ugodę Rzepy z wójtem, która oddawała, pozornie przynajmniej, na jego łaskę i niełaskę tak samo Rzepę, jak i całą jego rodzinę.

Ale Rzepowa po owym zajściu w sądzie nie dawała jeszcze za wygraną. Nazajutrz była niedziela, postanowiła więc pójść jak zwykle na sumę do Wrzeczędzy, a zarazem poradzić się księdza. Księży było dwóch: jeden proboszcz kanonik Ulajnowski, ale tak już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wyłaziły jak rybie, a głowa kręciła się na obie strony; nie do niego postanowiła więc udać się Rzepowa, ale do wikarego, księdza Czyżyka, który był człowiek bardzo świątobliwy i rozumny, mógł więc dobrą radę dać i pocieszyć. Chciała była Rzepowa pójść wcześniej i jeszcze przed sumą się z księdzem Czyżykiem rozmówić, ale że to musiała i za siebie, i za męża robić, bo mąż siedział w chlewku, mim więc posprzątnęła chałupę, nim dała jeść koniowi, świniom i krowie, nim ugotowała śniadanie i zaniósła je w dwojakach Rzepie do chlewa, słońce było już wysoko i wymiarkowała że przed sumą nie zdąży.

Jakoż gdy przyszła, nabożeństwo już się zaczęło. Kobiety, poubierane w zielone przyjaciółki, siedziały na cmentarzu i duchem kładły trzewiki, które ze sobą w rękach przyniosły. Uczyniła tak i Rzepowa i zaraz do kościoła. Ksiądz Czyżyk właśnie miał kazanie, a kanonik siedział w birecie na krześle wedle ołtarza i wytrzeszczał oczy, trzęsąc głową swoim zwyczajem. Było już po ewangelii, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu, ksiądz Czyżyk mówił o średniowiecznej herezji katarów i tłumaczył swoim parafianom, w jaki jedynie sposób mają zapatrywać się tak na ową herezję, jak i na bullę *Ex stercore* przeciw niej wymierzoną. Potem bardzo wymownie i z wielkim przejęciem się ostrzegał swoje owieczki, aby jako prostaczkowie, ubodzy niby owi ptakowie niebiescy, a zatem mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi, zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sięją zamiast pszenicy, a łzy i grzech, zbierać będą. Tu mimochodem wspominał o Condillacu, Voltairze, Rousseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przeszedł do szczegółowego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępińcy będą na tamtym świecie narażeni. A w Rzepową od razu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego, co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że juści musi pięknie mówić, kiej tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić. Potem kazanie się skończyło, a zaczęła się suma. Oj! modliła się też Rzepową, nieboga, modliła, jak nigdy w życiu, ale też czuła, że jej coraz lżej na sercu.

Aż wreszcie nadeszła uroczysta chwila. Bielusieńki jak gołąb dziekan wy dobył Przenajświętszy Sakrament z cyborium, a potem odwrócił się do ludzi i trzymając w

drżących rękach monstrancję jak słońce tuż koło twarzy, stał tak przez czas jakiś z przymkniętymi oczyma i schyloną głową, jakby zbierając się z duchem, aż wreszcie zaintonował: „Przed tak wielkim Sakramentem!”

A ludzie we sto głosów huknęli mu zaraz w odpowiedź:

Upadajmy na twarze,
Niech ustąpią z testamentem
Nowym prawom już starzy;
Wiara będzie suplementem,
Co się zmysłom nie zdarzy...

Pieśń brzmiała, aż się szyby zatrzęsły; zahuczał organ, zabręczały dzwonki i dzwony; przed kościołem grzmiał bęben, z trybularzy wzniosły się dymy błękitne, a słońce weszło przez okno i oświeciło, jakoby tęczą, owe zwoje. Wśród tego gwaru dymów, promieni, głosów, błyskał tylko czasem wysoko Przenajświętszy Sakrament, który ksiądz to zniżał, to podnosił, i wydawał się wówczas ów biały staruszek z monstrancją jak jakieś zjawisko niebieskie, na wpół mgłą dymów przesłonięte a promienne, od którego biła błogość i otucha, zlewając się na wszystkie serca i na wszystkie dusze pobożne. Owo ta błogość i uspokojenie wszelkie wzięły pod skrzydła boże i strapioną duszę Rzepowej: „Jezusie w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie! - wołała nieszczęśliwa kobieta - nie opuszczajże mnie niebogę!” I z oczu płynęły jej łzy, ale już nie te łzy, którymi płakała u wójta, ale dobre jakieś, choć duże jak kałakuckie perły, ano słodkie przy tym i spokojne. Padła Rzepową przed majestatem bożym twarzą na podłogę, a potem to już i sama nie wiedziała, co się z nią stało. Zdawało się jej, że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi jako liść marny aż do nieba, w wiekiustą szczęśliwość, gdzie nie było ani pana Zołzikiewicza, ani wójta, ani spisów wojskowych, tylko jakby jedna zorza, a w onej zorzy tron boski, koło tronu zasię światłość taka, że trzeba było oczy mrużyć, i całe chmary aniołków niby ptaszków z białymi skrzydełkami.

Rzepową leżała tak długo. Gdy się podniosła, już było po mszy; kościół opustoszał; dymy poszły pod sufit; ostatni ludzie wychodzili przeze drzwi, a na ołtarzu dziad gasił świece, więc Rzepową się podniosła i poszła na parafię rozmówić się z księdzem wikarym.

Ksiądz Czyżyk jadł właśnie obiad, ale wyszedł zaraz, jak mu tylko dali znać, że jakaś zapłakana kobieta chce się z nim widzieć. Był to młody jeszcze ksiądz, z twarzą bladą, ale pogodną; czoło miał białe, wysokie i łagodny uśmiech na twarzy.

- A czego to chcecie, moja kobieto? - spytał cichym, ale dźwięcznym głosem.

Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę, i popłakiwać przy tym, i całować go po rękę, aż wreszcie, podnosząc nań pokornie swoje czarne oczy, rzecze:

- Oj! porady, dobrodzieju, porady przysłałam od was szukać.

- I nie omyliliście się, moja kobieto - odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk. - Ale ja mam tylko jedną poradę. Oto ofiarujcie Bogu wszystkie swoje strapienia. Bóg doświadcza swoich wiernych: doświadcza ich nawet i srodze, jak Hioba, któremu psy własne lizały rany bolące, lub jako Azariasza, na którego zesłał ślepotę. Ale Bóg wie, co robi, i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło

się waszemu mężowi, uważajcie jako karę bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci!

Rzepowa popatrzyła na księdza swymi czarnymi oczyma, podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła, jakby ją coś dusiło za gardło.

Chciała płakać i nie mogła.

Rozdział VII

IMOGENA

Po południu, koło godziny piątej, na głównej drodze między chałupami błyszczała, w dali błękitna parasolka; żółty, ryżowy kapelusik z błękitnymi wstążkami i migdałowa sukienka garniowana także błękitno: to panna Jadwiga szła na spacer po obiedzie, obok niej zaś kuzyn, pan Wiktor.

Parana Jadwiga była to ładna panna, co się nazywa; włosy miała czarne, oczy niebieskie, pleć jak mleko, a przy tym ubranie dziwnie starowne, schludne i wykwintne, że aż promienie biły od niego, dodawało jej jeszcze uroku. Jej śliczna dziewczęca kibić rysowała się wdzięcznie, jakoby płynąc w powietrzu. Jedną ręką podtrzymywała panna Jadwiga parasolkę, a drugą zaś suknię, spod której widać było brzeżek karbowany białej spódniczki i śliczne małe nóżki obute w buciki węgierskie.

Pan, Wiktor, który koło niej szedł, choć miał ogromną, kręconą, jaśniejszej barwy czuprynę i broda tylko co mu się puszczała, wyglądał także jak malowanie.

Biło od tej pary zdrowiem, młodością, wesołością, szczęściem; a przy tym znać było po obojgu owo życie wyższe, świąteczne; życie skrzydlatych polotów nie tylko w świat zewnętrzny, ale w świat myśli, szerszych pragnień, równie szerokich idei, a czasem w złote i promienne szlaki marzeń.

Wśród tych chałup, obok dzieci wiejskich, chłopów i całego prostackiego otoczenia, wyglądali oboje jakby jakieś istoty z innej planety. Aż miło było pomyśleć, że nie istniał żaden związek między tą pyszną, rozwiniętą i poetyczną parą, a prozaicznym, pełnym szarej rzeczywistości i na wpół zwierzęcym bytem wioski. Nie istniał żaden związek, przynajmniej duchowy. Szli oto oboje obok siebie i rozmawiali o poezji, literaturze, jako zwyczajnie dworny kawaler i dworna panna. Ci ludzie w parcianej odzieży, ci chłopci i te baby nie rozumieliby nawet ich słów i języka. Aż miło pomyśleć! Przynajmniej mi to, acaństwo dobrodziejstwo!

W rozmowie tej pysznej pary nie było nic, czego by się nie słyszało ze sto razy. Z książki na książkę przeskakiwali jak motyl z kwiatu na kwiat. Ale nie wtedy taka rozmowa wydaje się czczą i pospolitą, kiedy się rozmawia z lubą duszą duszyczką, kiedy rozmowa jest tylko osnową, na której ona duszka złote kwiaty własnych uczuć i myśli dzierżga, i kiedy, od czasu do czasu, rozchyła swe wnętrze, jakoby spłonione wnętrze białej róży. A przy tym taka rozmowa wlatuje, bądź do bądź, jak ptak do góry, w sfery błękitne, czepia się świata duchowego i pnie się w górę jakoby wijąca

się roślina po tycze. Tam w karczmie ludziska pili i w prostackich słowach o prostackich prawili rzeczach, owa para płynęła w inną krainę i na okręcie, który miał, jak mówi piosnka Gounoda:

Maszty z kości słoniowej,
Flagą jedwab różowy
I szczerozłoty ster.

Obok tego należy jeszcze dodać, że parana Jadwiga zawracała dla wprawy głowę kuzynkowi. W tych warunkach najczęściej mówi się o poezji.

- Czytała pani ostatnie wydanie Elego? - pytał kawaler.

- Wie pan, panie Wiktorze - odrzekła panna Jadwiga - że ja przepadam za Elim. Gdy go czytam, zdaje mi się, że słyszę jakąś muzykę i mimowolnie stosuję do siebie ów wiersz Ujejskiego:

Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę;
Łzę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę.
Fiołkowej woni
Otacza mnie morze;
Dłoń złożony w dłoni,
Lecę... płynę...

- Ach! - przerwała nagle - gdybym go znała, jestem pewna, że byłabym w nim zakochana. Zrozumielibyśmy się z pewnością.

- Na szczęście jest żonaty! - odparł sucho pan Wiktor.

Panna Jadwiga schyliła trochę główkę, ścisnęła półuśmiechem usta, aż jej się dołki ukazały na policzkach, i spoglądając z ukosa na pana Wiktora, spytała:

- Dlaczego pan mówi: na szczęście?

- Na szczęście dla tych wszystkich, dla których by życie nie miało wówczas żadnego powabu. To mówiąc pan Wiktor był bardzo tragiczny.

- O! pan za dużo mi przypisuje. Pan Wiktor przeszedł w lirykę.

- Pani jesteś aniołem...

- No... to dobrze... to mówmy o czym innym. Więc pan nie lubi Elego?

- Zacząłem go nienawidzić przed chwilą.

- Brzydki grymaśnik z pana. Proszę się rozchmurzyć i wymówić mi swego ulubionego poetę.

- Sowiński... - mruknął ponuro pan Wiktor.

- A ja się go po prostu boję. Ironia, krew, pożar... dzikie wybuchy!

- Takie rzeczy nie przestraszają mnie wcale. To rzekłszy pan Wiktor spojrzał tak

waleczmie przed siebie, że aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch cofnął się przerażony.

Tymczasem doszli do czworaków, w oknie których mignęły im: kozia, bródka, zadarty nos i jasnozielony krawat, a potem zatrzymali się przed ładnym domkiem, pokrytym dzikim winem i patrzącym tylnymi oknami na staw.

- Widzi pan, jaki to ładny domek: to jest jedyne poetyczne miejsce w Baraniej Głowie.

- Cóż to za dom?

- To była dawniej ochrona. Tu dzieci wiejskie uczyły się czytać, gdy rodzice byli w polu. Papa naumyślnie kazał wybudować ten dom.

- A teraz cóż w nim jest?

- Teraz, tam stoją beczki z okowitą.

Ale nie dokończyła myśli, bo doszli do wielkiej kałuży, w której leżało kilka świń „słusznie tak nazwanych dla swego; niechlujstwa”. Żeby tę kałużę obejść, potrzeba było przejść koło chałupy Rzepowej; poszli więc tamtędy.

Przed wrotami siedziała na pieńku Rzepowa, z łokciami opartymi na kolanach i z twarzą podpartą na rękę. Twarz ta była blada i jakoby skamieniała, oczy czerwone, wejrzenie mętne i utkwione w dal bez myśli.

Rzepowa nie słyszała nawet przechodzących, ale panienka spostrzegła ją zaraz i rzekła:

- Dobry wieczór, Rzepowa!

Rzepowa wstała i zbliżywszy się podjęła pod nogi pannę Jadwigę i pana Wiktora, przy czym rozplakała się cicho.

- Co to wam, Rzepowa? - spytała panna,

- O! jagódka moja złota, o zorzo moja rumiana! Może mi Bóg ciebie zesłał! Przyczyniłeś ty się za mną, pociecho nasza!

Tu Rzepowa zaczęła opowiadać rzecz całą, przeplatając opowiadanie całowaniem panienki po rękę, a raczej po rękawiczkach, które przy tym łzami plamiła; panienka zmieszała się bardzo: widać było wyraźnie kłopot na jej ładnej, poważnej twarzyczce, i sama nie wiedziała, co począć, na koniec jednak rzekła z wahaniem:

- Cóż ja wam poradzę, moja Rzepowo! Mnie was żal bardzo. Doprawdy... cóż ja mogę wam poradzić. Idźcie zresztą do papy... może papa... No, bądźcie zdrowi, Rzepowo...

To rzekłszy parana Jadwiga podniosła jeszcze wyżej migdałową sukienkę, aż nad trzewikiem błyszcząca biała, w błękitne paski pończoszka, potem zaś panna Jadwiga poszła dalej z panem Wiktorem.

- Niech cię Bóg błogosławi, kwiateczku najpiękniejszy! - zawołała za nią Rzepowa.

Panna Jadwiga posmutniała jednak, a panu Wiktorowi zdawało się nawet, że widzi łezkę w jej oku: więc żeby odgonić smutek, zagadał o Kraszewskim i o innych mniejszych już rybach literackiego morza; jakoż w rozmowie, która ożywiła są stopniowo, zapomnieli wkrótce oboje o tej „niemiłej sprawie”.

- Do dworu? - mówiła sobie tymczasem Rzepowa. - A toć mnie tam najpierwej trzeba było iść. Oj! głupia też ze mnie kobieta!

Rozdział VIII

IMOGENA

We dworze był ganek obrośnięty winem, z widokiem na dziedziniec i na topolową drogę. W tym ganku państwo pijali latem kawę po obiedzie. Siedzieli też tam i teraz, a z nimi razem ksiądz dziekan Ulanowski, ksiądz Czyżyk i rewizor gorzelany Stołbicki. Pan Skorabiewski, człowiek dość otyły i dość czerwony, z wielkimi wąsami, siedział na krześle pałac fajkę; pani Skorabiewska nalewała herbatę, rewizor zaś, który był sceptyk, podrwiwał ze starego dziekana.

- Ot! niech no nam ksiądz dobrodziej opowie o tej sławnej bitwie - mówił rewizor.

A dziekan przyłożył rękę do ucha i pyta:

- He?

- O bitwie! - powtórzył rewizor głośniejsze.

- A? O bitwie? - rzekł dziekan i jakby zamyśliwszy się, począł coś szeptać do siebie i patrzeć w górę, niby sobie coś przypominając; rewizor nastawił już minę do śmiechu, wszyscy czekali na opowiadanie, choć je już ze sto razy słyszeli, bo zawsze na nie wyciągali staruszka.

- Co? - zaczął ksiądz dziekan - ja jeszcze wtedy byłem wikariuszem, a proboszczem był ksiądz Gładysz... dobrze mówię: ksiądz Gładysz. To on, co zakrystie przebudował... A światłość wiekuista!... Więc zaraz po sumie powiadam: Księżo proboszczu? A on pyta: co? Mnie się zdaje, że to coś z tego będzie, powiadam. A on mówi: I mnie się zdaje, że to coś z tego będzie. Patrzymy: aż tu zza wiatraka wyjeżdżają to na koniach, to piechotą, a tam chorągwie, a armaty. Tak ja zaraz pomyślałem sobie: O! Aż tu z drugiej strony, owce? myślę; a to nie owce, tylko kawaleria. Jak tylko tych zobaczyli, tak: stój! a tamci także: stój! A tu z lasu jak nie wypadnie kawaleria, dopiero ci w prawo, tamci w lewo, ci w lewo, tamci za nimi. Dopiero widzą: trudno! Więc także na nich. Jak nie zaczną strzelać, a za górą znowu coś błysnęło. Czy proboszcz widzi? powiadam, a proboszcz mówi: widzę, a tam już wałą z armat, z karabinów: tamci do rzeki, ci nie puszczają; ten tego, ten owego!... co ci przez jakiś czas górą, to znowu tamci. Huku! dymu! a potem na bagnety! Ale zaraz mi się zdało, że ci już słabną. Księżo proboszczu, mówię, tamci górą! a on mówi: I mnie się zdaje, że górą. Ledwie domówił, ci w nogi! tamci za nimi; dopiero ich topić, zabijać, brać w niewolę i myślę, skończy się... ale gdzie tam! tego... powiadam, właśnie, no!

Tu staruszek machnął ręką i osadziwszy się głęboko, wpadł jakby w zadumę, tylko głowa trzęsła mu się mocniej jak zwykle, a oczy bardziej jeszcze na wierzch wylaziły.

Rewizor aż się zapłakał od śmiechu.

- Księżę dobrodzieju! - zapytał - któż się z kim bił, gdzie i kiedy? A kanonik rękę do ucha i mówi:

- He?

- Ot! prosto nie mogę od śmiechu - rzekł do pana Skorabiewskiego rewizor.

- A może cygarko?

- A może kawy?

- Nie - nie mogę od śmiechu.

Śmieli się i państwo Skorabiewscy przez grzeczność dla rewizora, choć tego opowiadania musieli słuchać, jak zapisał, co niedziela; wesołość była więc ogólna, gdy nagle przerwał ją cichy, lękliwy głos z zewnątrz ganku, który rzekł:

- Niech będzie pochwalony! Pan Skorabiewski zaraz podniósł się, wyszedł przed ganek i spytał:

- A kto tam?

- To ja, Rzepowa.

- Czego?

- Rzepowa schyliła się, o ile jej na to dzieciak pozwalał, podjęła go pod nogi.

- Po ratunek, jaśnie dziedzicu, i po zmiłowanie.

- Moja Rzepowa, dajcie mi też choć w niedzielę pokój! - przerwał pan Skorabiewski z taką dobrą wiarą, jakoby Rzepowa nachodziła go w każdy dzień powszedni. - Widzicie przecie, że teraz mam gości. Toć ich dla was nie zostawię.

- Ja zaczekam...

- No, to czekajcież. Ja się przecie na dwoje nie rozerwę...

To rzekłszy pan Skorabiewski wsunął na powrót swe obszary w ganek, a Rzepowa cofnęła się aż do krtek ogrodowych i stanęła przy nich pokornie. Ale przyszło jej czekać dość długo. Państwo się tam zabawiali rozmową, a uszu jej dolatywały wesołe śmiechy, które dziwnie brały ją za serce, bo nie do śmiechu jej było niebodze. Potem wrócili pan Wiktor z panną Jadwigą, a następnie poszli wszyscy na pokoje. Powoli słońce miało się ku zachodowi. Na ganek wyszedł lokajczuk Jasiak, którego pan Skorabiewski nazywał zawsze: „jeden z drugim”, i zaczął nakrywać do herbaty. Zmienił obrus, postawił filiżanki i począł wpuszczać w nie z brzękiem łyżeczki. Rzepowa czekała i czekała. Przychodziło jej do głowy, czyby nie wrócić do chałupy a przyjść później, ale bała się, że potem będzie za późno, przysiadła więc tylko na trawie pod płotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno

przebiega ją od stóp do głowy. Czasem także brały ją cięgoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty było już zastawione; w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami *Anioł pański*, a potem rozmyślała, jak też to ją poratuje pan Skorabiewski.

Dobrze ona nie wiedziała jak? ale rozumiała, że pan, jako pan, to i z komisarzem ma znajomość, i z naczelnikiem; byle tylko słowo rzekł, jak wszystko się stało, a to i da Pan Bóg, że się złe odmieni. A przy tym myślała, że niechby się Zołzikiewicz albo wójt sprzeciwił, to pan wiedziałby, gdzie pójść po sprawiedliwość: „Panosko zawdyk dobry był i dla ludzi miłosierny, myślała sobie, toć mnie tak nie ostawi.” I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki. Dalej przypomniła sobie, że i na Rzepę zawsze był łaskaw; dalej, że jej nieboszczka matka wykarmiła pannę Jadwigę, więc i otucha wstąpiła w jej serce. To, że czekała już parę godzin, wydało jej się tak naturalne, że nawet nie zastanawiała się nad tym. Tymczasem państwo wrócili na ganek. Rzepowa widziała przez liście winne, jak panienka nalewała ze srebrnego imbryka „arbatę”, czyli jak mawiała nieboszczka matka Rzepowej, „taką wodę pachnącą, co ci od niej w calusieńkiej gębie puszy”. Potem pili ją wszyscy, rozmawiali i śmieli się wesoło. Dopiero wtedy przyszło Rzepowej do głowy, że w pańskim stanie to zawsze jest więcej szczęścia niż w prostym, i sama nie wiedziała, czemu łzy znowu popłynęły jej po twarzy. Ale te łzy ustąpiły wkrótce innemu wrażeniu, bo oto na ganek „jeden z drugim” wniósł dymiące półmiski; wtedy przypomniła sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąć w usta, a rano tylko się trochę mleka napiła.

„Oj! żeby mi też choć kosteczki dali ogryźć!” - pomyślała sobie - i wiedziała, że daliby z pewnością nie tylko kosteczki, ale nie śmiała prosić, by się nie naprzykrzać i w oczy nie leżać przy gościach, za co by się może pan i rozgniewał.

Nareszcie skończyła się i kolacja; rewizor odjechał zaraz, a w pół godziny potem i obaj księża siadali już na dworską brykę. Rzepowa widziała, jak pan podsadzał dziekana, więc oszczędziła, że chwila nadeszła, i zbliżała się ku gankowi.

Bryka ruszyła; pan krzyknął na drogę furmanowi:

„A przewróć tam na grobli, to ja ci przewrócę!”, potem spojrzął na niebo chcąc widać wymiarkować, jaka będzie jutro pogoda, nareszcie dojrzał w ciemności bielejącą koszulę Rzepowej.

- A kto tam?

- Rzepowa.

- A, to wy! Gadajcie prędzej, czego chcecie, bo późno.

Rzepowa powtórzyła mu znowu wszystko; pan słuchał i tylko pykał z fajki przez cały czas, a potem rzekł:

- Moi kochani! ja pomógłbym wam chętnie, gdybym mógł, ale dałem sobie słowo, że się w sprawy gminne nie będę wtrącał.

- Dyc ja wiem, jaśnie dziedzicu - rzekła drżącym głosem Rzepowa - ale pomyślałam sobie, że może jaśnie dziedzic ulituje się nade mną...

Głos jej urwał się nagle.

- Wszystko to bardzo dobrze - rzekł pan Skorabiewski - ale co ja mogę zrobić? Ja swojego słowa dla was łamać nie mogę, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnymi sprawami... Wy macie swoją gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? moja Rzepowa. No! idźcie z Bogiem.

- Panie Boże zapłać - ozwała się głucho kobieta, podjawszy dziedzica pod nogi.

Rozdział IX

IMOGENA

Rzepa po wyjściu z chlewka poszedł prosto nie do chałupy, ale do karczmy. Wiadomo, że chłop w utrapieniu pije. Z karczmy, powodowany też samą myślą co i Rzepowa, poszedł do pana Skorabiewskiego i głupstwo zrobił.

Człowiek nietrzeźwy nie wie, co gada. Otóż Rzepa był natarczywy, a gdy usłyszał też samo co i Rzepowa o zasadzie nieinterwencji, nie tylko że wskutek przyrodzonej prostakom tępości umysłowej, tej wysoce dyplomatycznej zasady nie pojął, ale z gburowatością, właściwą również prostakom, ozwał się i został wyrzucony za drzwi.

Gdy przyszedł nazad do chałupy, sam powiedział żonie:

- Byłem we dworze.

- I nie wskórałeś nic.

A on pięścią o stół.

- Podpalić by ich, psiowiary.

- Cichajże, zbereźniku. Co ci ta pan powiedział?

- Odesłał mnie do naczelnika. Żeby jego...

- Ono to chyba trzeba iść do Osłowic.

- Pojadę do Osłowic - mówił zaraz wtedy - i pokażę mu, że się bez niego obędzie.

- Nie pojedziesz ty, nieboraku mój serdeczny, tylo ja sama. Ty, ino się napijesz, to zara hardo się stawisz i tylko nieszczęścia przymnożysz.

Rzepa z początku było nie chciał, ale zaraz po południu poszedł do karczmy zalać robaka, nazajutrz dzień toż samo; kobieta więc, nie pytając już o nic, zdała wszystko na wolę bożą i we środę wzięwszy dziecko wyszła do Osłowic.

Koń był przy gospodarstwie potrzebny, więc poszła piechotą i świtaniem, bo do Osłowic było trzy opętane mile. Myślała, że może i spotka dobrych ludzi jadących, którzy pozwolą się jej przysiąść bodaj na brzeżku fury, ale nie spotkała nikogo. O dziewiątej rano, siadłszy zmęczona na skraju lasu, zjadła kromkę chleba i parę jaj,

które miała ze sobą w kobiałce, potem poszła dalej. Słońce zaczynało przypiekać, więc spotkawszy pachciarza Herszka z Wrzeczędzy, który wioził w drabkach gęsi do miasta, zaczęła prosić, żeby ją zabrał na furę.

- Z Bogiem, moja Rzepowa - odpowiedział Herszek - ale tu taki piach, że koń ledwie mnie samego ciągnie. Dacie złoty, to was wezmę.

Dopiero przypomniała sobie, że miała tylko jeden czeski zawiązany w chuście. Chciała Żydowi dać go zaraz, ale on odpowiedział:

- Czeski? I czeskiego na ziemi nie znajdzie, i to pieniądz! cy! cy!

To rzekłszy zaciął konia i pojechał dalej. Na świecie stawało się coraz goręcej i pot lał się strumieniem z Rzepowej, ale zbierała nogi, jak mogła, i w godzinę później wchodziła już do Osłowic.

Kto zna jak należy geografę, ten wie, że wjeżdżając od strony Baraniej Głowy do Osłowic, trzeba przejeżdżać koło kościoła poreformackiego, w którym dawniej była Matka Boska cudowna, a około którego jeszcze dziś, co niedziela, siedzi cała ulica dziadów wrzeszczących wniebogłosy. Teraz, że to był dzień powszedni, siedział więc pod parkanem tylko jeden dziad, ale za to wyciągał spod łachmanów gołą nogę bez palców i trzymając w ręku wierzch pudełka od szuwaksu, śpiewał:

Święta, niebieska
Pani anielska.

Ujrawszy kogo przechodzącego przestawał śpiewać, ale wysuwając jeszcze dalej nogę, poczynął krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał.

- Miłosierne osoby! Biedna kaleka litości błaga! Niech wam Pan Bóg miłosierny da wszystko dobre na ziemi!

Ujrawszy go Rzepowa odwiązała z chusty swego czeskiego i zbliżywszy się rzekła:

- Mata pięć groszy?

Chciała mu dać tylko grosz, ale dziad poczuwszy szóstaka w palcach nuż jej wymyślać: „Żałujeta czeskiego Panu Bogu, pożałuje i wam Pan Bóg wspomżenia. Idźta do paralusa, pókim dobry!”

Więc Rzepowa sobie rzekła: „Niech to będzie na chwałę bożą”, i poszła dalej.

Dopiero jak przyszła na rynek, tak się zlekła. Łatwo było przyjść do Osłowic, ale zabłądzić w Osłowicach jeszcze łatwiej. A toć to miasto nie żarty! Przyjdiesz do jakiej nieznamomej wsi, a już musisz wypytywać się, gdzie kto mieszka, a cóż dopiero w takich Osłowicach. „Ja się tu zgubię jak w lesie” - pomyślała Rzepowa. Nie było innej rady, jak wypytywać się ludzi. O komisarza wypytała się łatwo, ale poszedłszy do jego domu dowiedziała się, że wyjechał do guberni. O naczelniku powiedzieli jej, że go trzeba szukać w powiecie. Ba! a powiat gdzie? Oj! głupia, głupia kobieta. Przecie w Osłowicach, nie gdzie indziej.

Szukała tedy w Osłowicach powiatu, szukała; nareszcie patrzy: stoi jakiś pałac, wielki aż strach, a przed nim co niemiara bryk i wozów, i bid żydowskich, Rzepowej

zdawało się, że to jaki odpust, „A kaj tu je powiat?” - pyta Rzepowa jakiegoś we fraku, podjawszy go pod nogi. „Toć stoisz, kobieto, przed nim.” Zebrała się z duchem i weszła do pałacu. Patrzy znowu: a tam pełno korytarzy, na lewo drzwi, na prawo drzwi, dalej jeszcze i drzwi, i drzwi, a na każdym jakieś litery. Przeżegnała się Rzepowa i otworzywszy z nieśmiałością i po cichutku pierwsze, znalazła się w jakiejś wielkiej izbie, przedzielonej stallami jak kościół.

Za stallami siedział jakiś we fraku ze złocistymi guzikami i z piórem za uchem, a przed stallami różnych panów co niemiara. Panowie płacili i płacili, a ten we fraku palił papierosa i pisał kwitki, które panom oddawał. Kto wziął kwitek, ten wychodził. Dopiero Rzepowa pomyślała, że tu trzeba płacić, i pożałowała swojego czeskiego. Toteż z nieśmiałością wielką przystąpiła do kratki.

Ale tam nikt nawet na nią nie spojrział. Stoi Rzepowa, stoi; upływa z godzina; jedni wchodzą, drudzy wychodzą, zegar za kratką tyka, a ona stoi. Na koniec przerzedziło się jakoś, a wreszcie i nikogo nie stało. Urzędnik siadł za stołem i zaczął pisać. Wtedy Rzepowa ośmieliła się odezwać:

- Pochwalony Jezus Chrystus!...

- Czego tam?

- Jaśnie naczelniku!...

- Tu jest kasa.

- Jaśnie naczelniku!...

- Tu jest kasa, mówię wam.

- A kaj naczelnik?

Urzędnik pokazał drugim końcem pióra na drzwi:

- Tam.

Rzepowa wyszła znowu na korytarz. Tam? ba! ale gdzie? Drzwi wszędzie co niemiara, w które tu pójść?

Nareszcie widzi, że między rozmaitymi ludźmi, którzy chodzą to w tę, to w tamtą stronę, stoi chłop z biczem w ręku, więc zaraz do niego.

- Ojczy?

- A czego chceta?

- Skądęście?

- Z Wieprzkowisk, abo co?

- Kaj tu naczelnik?

- Czy ja wiem.

Potem spytała jeszcze jakiegoś ze złotymi guzikami, ale nie we fraku, i z dziurami na łokciach. Ten nie chciał nawet jej słuchać, odpowiedział tylko:

- Nie mam czasu.

Rzepowa znów weszła w pierwsze lepsze drzwi, nie wiedziała biedaczka, że na tych drzwiach stał napis:

„Osobom nie należącym do składu urzędu wchodzić nie wolno.” Ona do składu urzędu nie należała; napisu, jak się rzekło, nie widziała.

Tylko co otworzyła drzwi, patrzy: izba pusta, pod oknem ławka, na ławce siedzi jakiś i drzemie. Dalej drzwi do innego pokoju; w których widać chodzących panów we frakach i w mundurach.

Rzepowa zbliżyła się do tego, który drzemał na ławie: miała do niego trochę śmiałości, bo człowiek wyglądał prosty i buty miał na wyciągniętych przed się nogach dziurawe.

Trąciła go w ramię.

On się zerwał, spojrzął na nią i jak krzyknie:

- Nie wolno! -

Kobiecina w nogi, a on drzwiami za nią trzasnął. Znalazła się trzeci raz na tym samym korytarzu. Siadła koło jakichś drzwi i z cierpliwością prawdziwie chłopską postanowiła siedzieć przy nich, choćby do skończenia świata. „A przecie kto może i zapyta!” - myślała sobie. - Nie płakała, tylko tarła oczy, bo ją swędziły, i czuła, że cały korytarz ze wszystkimi drzwiami zaczyna się z nią kręcić.

A tu ludzie koło niej, to w prawo, to w lewo; drzwiami trzask! trzask! a rozmawiają ze sobą, słycać ha-ru! haru! jak na jarmarku.

Wreszcie jednak Bóg zmiłował się nad nią. Z tych drzwi, przy których siedziała, wyszedł stateczny szlachcic, którego czasem w kościele we Wrzeczędzy widywała; potknął się o nią i pyta:

- Wy tu czego, kobieto, siedzicie?” Co?

- Do naczelnika...

- Tu jest komornik, nie naczelnik. Szlachcic ukazał drzwi w głębi korytarza.

- Tam, gdzie ta zielona tabliczka, co? Ale nie chodźcie do niego, bo zajęty, co? Zaczekajcie tu, on musi tędy przechodzić.

I szlachcic poszedł dalej, a Rzepowa spojrziała za nim takim spojrzeniem, jakby za swoim aniołem stróżem.

Przyszło jej jednak jeszcze dość długo czekać, aż nareszcie drzwi z zieloną tabliczką otworzyły się z trzaskiem; wyszedł z nich niemłody już wojskowy i szedł przez korytarz, śpiesząc się bardzo. Oj! zaraz można było poznać, że to naczelnik, bo za nim w dyrdy leciało kilku interesantów, zabiegając mu to z prawej, to z lewej strony, a do uszu Rzepowej doszły wykrzyki: „Panie naczelniku dobrodzieju!”, „Słóweczko, panie naczelniku!”, „Łaskawy naczelniku!” Ale on nie słuchał i szedł naprzód. Rzepowej aż zaraz pociemniało w oczach jego widok. „Dziej się wola boża!”, przemknęło jej w głowie, więc wypadła na środek korytarza i klękawszy z

podniesionymi rękoma, zagroziła mu drogę.

Spojrzał, stanął; cała procesja zatrzymała się przed nią.

- Toż co jest? - spytał.

- Przenoświętsy nacelni...

I nie mogła dalej: zalekła się tak, że głos urwał się jej w gardle; język kołem stanął.

- Czego?

- O! o! ady! ady! wedle... poboru.

- Cóż to? was do wojska chcą? - a? - spytał naczelnik.

Interesanci zaraz chórem w śmiech, by podtrzymać dobry humor naczelnika, ale on zaraz do tych swoich dworzan:

- Proszę! proszę cicho!

A potem niecierpliwie do Rzepowej:

- Prędzej! czego? bo nie mam czasu.

Ale Rzepowa do reszty straciła głowę od śmiechu panów, więc poczęła tylko bełkotać bez związku: „Burak! Rzepa! Rzepa! Burak, o!

- Musi być pijana! - rzekł jeden z otaczających.

- Zostawiła język w chałupie - dodał drugi.

- Czegóż chcecie? - powtórzył jeszcze niecierpliwiej naczelnik. - Pijaniście czy co?

- O, Jezusie! Maryja! - wykrzyknęła Rzepowa czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jej z rąk. - Przenoświętsy nacel...

Ale on był istotnie bardzo zajęty, bo to i spisy się już zaczęły, i interesów w powiecie było mnóstwo, zresztą z kobietą dogadać się nie mógł, więc tylko kiwnął ręką i zawołał:

- Wódka! wódka! A kobieta młoda i ładna. Potem do Rzepowej takim głosem, że mało się pod ziemię nie schowała:

- Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie.

Poszedł spiesznie dalej, a interesanci za nim powtarzając: „Panie naczelniku dobrodzieju!”, „Słoweczko, panie naczelniku!”, „Łaskawy naczelniku!”

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho, tylko dzieciak Rzepowej począł wrzeszczeć. Więc rozbudziła się jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nieswoim głosem:

- Aa! aa! aa!

Potem wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami: na krańcach widnokregu grzmiało.

W powietrzu było parno.

Co się działo w duszy Rzepowej, gdy przechodziła znowu koło poreformackiego kościoła z powrotem do Baraniej Głowy, nie podejmuję się opisywać. Ach! gdyby to tak panna Jadwiga znalazła się w podobnym położeniu, dopieroż bym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na świecie. Ale w panie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w niemniej rozpacznych, a zatem bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie a przebolesne poczucie bezradności, niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku, ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę jakimś niemniej natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko spisać, aby sobie zrobić reputację. A Rzepowa? Ten prosty naród, gdy cierpi, to tylko cierpi, i nic więcej! Rzepowa w twardym ręku niedoli spoglądała tylko tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie, wiatr gnał ją, pot ciekł z jej czoła, i cała rzecz. Czasem jednak, gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i poczynął oddychać tak, jakby zaraz miał skonać, wołała na niego: „Jaśku, Jasieńku mój serdeczny!”, i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny. Minęła wreszcie poreformacki kościół i wyszła daleko w pole, aż nagle zatrzymała się, bo naprzeciw niej szedł pijany chłop.

Chmury waliły się na niebie coraz gęstsze, a w nich gotowało się coś jakby burza; od czasu do czasu błyskało, ale chłop nie pytał, rozpuścił na wiatr poły sukmany, przekrzywił czapkę na ucho i taczając się to w prawo, to w lewo, śpiewał:

Poszła Doda
Do ogroda
Pasternaku kopać,
A ja Dodę
Kijem w nogę:
Doda uciekać!
Uu! du!

Ujrzawszy Rzepowa, stanął, rozłożył ręce i wykrzyknął:

Oj, pójdziewa w żyto,
Boś dobra, kobieto!

I chciał ją złapać wpół, ale Rzepowa, zlekłszy się o dziecko i o siebie, uskoczyła w bok; chłop za nią, ale że był pijany, więc się przewrócił. Zerwał się wprawdzie zaraz, nie gonił jej jednak, tylko porwawszy kamień rzucił za nią, że aż zawarczało powietrze.

Rzepowa poczuła ból w głowie i zamroczyło ją zaraz, toteż przyklekła. Lecz pomyślała sobie tylko jedno słowo: „dziecko”, i poczęła uciekać dalej. Zatrzymała się dopiero pod krzyżem, a obejrzawszy się spostrzegła, że chłop był już z jakie pół wiorsty i taczając się szedł do miasta.

W tej chwili jednak uczuła jakieś dziwne ciepło na szyi; pomacała ręką, a potem spojrzawszy na palce spostrzegła krew.

Pociemniało jej w oczach i odeszła od przytomności.

Zbudziła się oparta plecami o krzyż. Z daleka nadjeżdżał kabriolet z Ościeszyna, a w nim młody pan Ościeszyński z guwernantką ze dworu.

Pan Ościeszyński Rzepowej nie znał, ale ona go znała z kościoła; myślała więc lecieć do kabrioletu i prosić na miłosierdzie boskie, żeby choć dziecko przed burzą zabrali: podniosła się nawet na nogi, ale nie mogła iść.

Tymczasem młody pan nadjechał i ujrawszy nieznaną kobietę stojącą pod krzyżem, zawołał:

- Kobieto! kobieto! siadajcie.

- Niech Pan Bóg...

- Ale na ziemi, na ziemi.

O! był to figlarz znany w całej okolicy ten młody pan Ościeszyński, więc on tak zaczepiał wszystkich po drodze, a tak samo też zażartował i z Rzepowej, a potem zaraz ruszył, dalej. Do uszu Rzepowej doszły śmiechy jego i guwernantki; potem zobaczyła, jak się zaczęli całować i znikli wraz z kabrioletem w ciemnej dali.

Rzepowa została sama. Ale nie darmo to mówią: „Babę i ropuchę nawet siekiera nie zabijesz!” Po godzinie jakiej zwlokła się znowu, choć nogi gięły się pod nią: poszła dalej.

- Cóż Ci ta dziecina winna, ona rybeńka złota, Panie Boże! - powtarzała tuląc do piersi chorego Jaśka.

A potem widać zaraz porwała ją gorączka, bo zaczęła mruczeć jakby pijana.

- W chałupinie pusta kołysieczka, a mój to ta poszedł na wojenkę z karabinem.

Wiatr zsunął jej czepiec z głowy: śliczne jej włosy rozsypały się po plecach i poczęły furkać w powietrzu. Nagle błysnęło: piorun runął tak blisko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła. Ale przyprowadziło ją to do przytomności; krzyknęła: „A słowo stało się ciałem!” Spojrzała na niebo, które było wzburzone, niemiłosierne, wściekłe, i zaczęła drżącym głosem śpiewać: „Kto się w opiekę.” Jakiś złowrogi miedziany odbłask padał z chmur na ziemię. Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniej i straszniej. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem: „Co to będzie! -O! dla Boga!” Potem znów nastawała cisza. Czasem znów z głębin leśnej rozlegał się jakiś głos. Rzepowa aż ciarki przechodziły, że to może „złe” śmieje się na bajorach albo może gomon przesunie strasznym korowodem lada chwila. „Byle bez las, byle bez las - myślała sobie - a tam za lasem zara młyn i chałupa Jagodzińskiego młynarza!” Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze, a tymczasem upusty niebieskie otworzyły się nad jej głową: deszcz, pomieszany z gradem, lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią: słychać trzask gałęzi, ciemność.

Rzepowa uczuła, że słabnie.

- Ratunku! ludzie! - zawołała słabym głosem, ale tego nikt nie .słyszał. Wicher wbił jej nazad głos w gardło i zatamował oddech. Wtedy to zrozumiała, że już dalej nie ujdzie.

Zdjęła z siebie chustę, zdjęła przyjaciółkę, fartuch, rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko; potem, ujrawszy w pobliżu brzozę płaczącą, przyczołgała się do niej prawie na czworakach i złożony pod gęstwiną dziecko, sama upadła obok niego.

- Boże! przyjm duszę moją! - wyszeptała z cicha.

I zamknęła oczy.

Burza szalała jeszcze przez czas jakiś, na koniec opadła. Ale zrobiło się już ciemno; przez przerwy chmur zaczęły połyskiwać-gwiazdy. Pod brzozą bielita się nieruchoma ciągle postać Rzepowej.

- Nau! - rozległ się jakiś głos w ciemnościach.

Po chwili z daleka dał się słyszeć turkot wozu i chlapanie nóg końskich po kałużach.

To Herszek, pachciarz z Wrzeczędzy, sprzedawczy w Osłowicach gęsi, wracał na noc do domu.

Ujrawszy Rzepową zlął z wozu.

Rozdział X

ZWYCIĘSTWO GENIUSZU

Herszek z Wrzeczędzy zabrał było Rzepową spod brzozy i wiózł ją do Baraniej Głowy, a po drodze spotkał się z Rzepą, który. widząc, że idzie burza, wyjechał wozem na spotkanie kobiety. Kobieta przeleżała noc i następny dzień, ale drugiego dnia już wstała, bo dzieciak był chory. Przyszły kumy i okadzały go święconymi wiankami, a następnie stara Cisowa, kowalka, zażegnwała chorobę z sitem w rękę i czarną kurą. Jakoż dzieciakowi zaraz pomogło, ale bieda była coraz większa z samym Rzepą, który zalewał się teraz wódką bez miary i już nie można było dojść z nim do ładu. Dziwna rzecz, kiedy Rzepową przyszła do przytomności i zaraz spytała o dziecko, on, zamiast okazać jej troskliwość, ozwał się chmurno: „Będiesz ty po miastach latać, a dzieciaka lichy weźmie. Dałbym ja ci, żebyś ty go była zatraciła!” Więc dopiero kobieta na taką niewdzięczność uczuła gorycz wielką i głosem prosto spod serca, w którym był ból niepojęty, chciała mu to wymówić, ale nie mogła więcej powiedzieć, jak tylko krzyknąć: „Wawrzon!” I spojrzała na niego przez łzy. A chłopca jakby podrzuciło ze skrzynki, na której siedział. Przez chwilę cicho był, a potem powiada innym już głosem: „Maryśko moja, odpuść ty mi moje słowa, bo widzę, że cię ukrzywdził.” To rzekłszy ryknął wielkim głosem, i nuż ją po nogach całować, a ona mu w płaczu wtórowała. Więc czuł, że takiej kobiety nie wart. Ale ta zgoda

niedługo trwała. Smutek jątrzący się jako rana zaczął ich zaraz jątrzyć jedno przeciw drugiemu. Gdy Rzepa przychodził do chałupy, czy to pijany, czy trzeźwy, nie mówił do żony ani słowa, ale siadał na skrzynce i patrzył wilkiem w ziemię. Tak siadywał po całych godzinach jak skamieniały. Kobieta kręciła się po izbie, pracowała jak i dawniej, ale także milczała. Później, gdy jedno i chciało odezwać się do drugiego, już im było jakoś i niesporo. Żyli więc niby w wielkiej urazie, a w chałupie grobowe panowało milczenie. O czymże i mieli mówić, kiedy wiedzieli oboje, że już nie ma żadnej rady i że doła ich już się skończyła. Po kilku dniach poczęły chłopu złe jakieś myśli przychodzić do głowy. Poszedł było do spowiedzi do księdza Czyżyka, ksiądz nie dał mu rozgrzeszenia i kazał przyjść nazajutrz, ale nazajutrz Rzepa, zamiast do kościoła, poszedł do karczmy. Ludzie słyszeli, jak po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomóc, to on duszę diabłu zaprzeda, i poczęli się go wystrzegać. Nad chałupą zawisła jakoby klątwa. Ludzie rozpuścili języki jak dziadowskie bicze i mówili, że wójt z pisarzem dobrze robią, bo taki zboreźnik ściągnie tylko pomstę bożą na całą Baranią Głowę. A i na Rzepową poczęły kumoszki niestworzone rzeczy wygadywać.

Zdarzyło się, że u Rzepów wyschła studnia. Rzepową więc poszła po wodę przed karczmę, a po drodze słyszała, jak chłopaki-mówili między sobą: „Idzie żołnierka!” A inny chłopak powiada: „Nie żołnierka to, ale diabłowa!” Kobieta nie rzekłszy słowa poszła dalej, ale widziała, jak się przeżegnali. Nabrała wody w konewkę i do domu. A tu przed karczmą stoi Szmul. Gdy ujrzał Rzepową, wydobył zaraz z gęby porcelanową fajkę, co mu na brodzie wisiała, i zawołał:

- Rzepowa!

Rzepową zatrzymała się i pyta:

- Czego chcecie?

A on:

- Byliście u sądu w gminie?

- Byłam!

- Byliście u księdza?

- Byłam!

- Byliście we dworze?

- Byłam!

- Byliście w powiecie?

- Byłam!

- I nie wskóraliście nic?

Rzepowa tylko westchnęła, a Szmul znowu:

- Ny, jacy wy ście głupi, to już w całej Baraniej Głowie nikogo głupszego nie ma!
A wam po co tam było iść?

- A gdzie miałam iść? - rzecze kobieta.

- Gdzie? - odparł Żyd - a na czym ugoda stoi? na papierze; nie ma papieru, nie ma i ugody; podrzeć papier, i basta!

- O moiście wy! - rzecze Rzepową - żeby ja miała ten papier, dawno bym ja go podarła.

- Ba! a to nie wiecie, że papier u pisarza? No... ja wiem, co wy, Rzepowa, dużo u niego możecie wskórać; on sam mi mówił: niech Rzepową, powiada, przyjdzie i mnie poprosi, a ja, powiada, papier podrę, i basta!

Rzepowa nie odrzekła nic, tylko chwyciła konewkę za ucho i poszła w stronę murowańca, a tymczasem ściemniło się na dworze...

Rozdział XI

SKOŃCZONA NIEDOLA

Na niebie zaszedł już Wóz, a weszły Kurki, gdy drzwi skrzypnęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. Wszedłszy stanęła jak wryta, bo spodziewała się, że Rzepa jak zwykle będzie spał w karczmie; tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą z pięściami wspartymi o kolana i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

- Gdzieś była? - spytał ponuro Rzepa. Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach ze szlochaniem i płaczem wielkim zaczęła wołać:

- Wawrzon! Wawrzon! dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potem zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulituj że się choć ty nade mną; mój serdeczny! Wawrzon! Wawrzon! Rzepa wydobył zza skrzynki siekiere.

- Nie - mówił spokojnym głosem - już tobie przyszło na koniec, niebogo! Już ty się pożegnaj z tym światem, bo go nie będziesz widzieć. Już ty nie będziesz, niebogo, w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiero ona spojrzała na niego z przerażeniem.

- Cóż ty chcesz mnie zamordować? A on:

- No, Maryśko; nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potem będzie koniec: nawet nie poczujesz, niebogo.

- Wawrzon, i ty naprawdę?...

- Połóż głowę na skrzyni...

- Wawrzon!

- Połóż głowę na skrzyni! - wołał już z pianą na ustach.

- O! dla Boga! ratunku! ludzie! ratun... Rozległo się głucho uderzenie, potem, jęk i

stuk głowy o podłogę; potem drugie uderzenie, słabszy jęk; potem trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste. Na podłogę lunął strumień krwi, węgle na kominie przygasły. Drganie przeszło Rzepową od stóp do głowy, potem trup jej wyprężył się nagle i pozostał nieruchomy.

Wkrótce potem szeroka krwawa łuna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania dworskie.

EPILOG

A teraz powiem wam coś na ucho, czytelnicy: Rzepy nie byliby wzięli do wojska. Taka ugoda, jaką spisano w karczmie, nie była wystarczającą. Ale widzicie, chłopci się na takich rzeczach nie znają, inteligencja, dzięki neutralności, także niewiele, więc... więc pan Zołzikiewicz, który trochę wiedział o tym, liczył, że w każdym razie sprawa się przewlecze, a strach rzuci kobietę w jego ramiona.

I nie przeliczył się ten wielki człowiek.

Spytacie, co się z nim stało? Cóż się miało stać? Rzepa, podpaliwszy zabudowania dworskie, poszedł było szukać z kolei zemsty i na nim; ale że na okrzyk: „gore!”, zbudziła się już cała wieś, więc Zołzikiewicz ocalał.

I oto piastuje dalej urząd pisarza w Baraniej Głowie, ale teraz ma nadzieję, że zostanie wybrany sędzią. Skończył właśnie czytać *Barbarą Ubryk* i spodziewa się także, że panna Jadwiga uściśnie mu lada dzień rękę pod stołem.

Czy te nadzieje sędziostwa i uścisku się sprawdzą, przyszłość okaże.